

WOJNA Z SĄSIADKĄ.

Drobnostka dramatyczna, p. Wołody Skibę, (aut. powieści *Igła i Pióro*).

I.

śród jednej z ulic odleglejszych Warszawy, na gontami pokrytym dachu któregoś z parterowych domków, ukazał się drobny, lekki, we-

solny wróbel, podskoczył kilka razy, zaświegotał, poskoczył znowu, zbliżył się do miejsca z kąd wyleciał, wsunął dziobek do jakiejś dziury, przez którą światło dzienne wkraadało się kontrabandą na poddasze, znowu zaświegotał, jakby pożegnanie dla dziatwy, potem trzepnął skrzydełkami, wzbil się w górę i odleciał, śmiało w powietrzu zataczając łuki.

Leciał dosyć daleko, zatrzymując się czasami, to na brzegu okapu, to na skraju komina, to na grzbiecie mchem porośłego dachu, aż nareszcie przybył przed jedno-piętrową kamieniczkę, zbliżył się do jednego z okien pierwszego piętra, tak blisko, że skrzydełkami o nie tracił, jakby chciał tam zajrzeć do środka, albo też dać znać o sobie, potem odleciał na drugą stronę ulicy, siadł na otworze rynny, obtarł o nią dziobek kilka razy i patrzył w górę, jakby czekał na coś.

Po chwili w oknie, do którego zaglądał, otworzył się lufcik, przez lufcik ukazała się ręka, z ręki posypały się białe okruszyny bulki na wystającą cokolwiek ścianę, potem ręka cofnęła się, lufcik się zamknął.

Wróbel jak gdyby czekał na to, przyleciał, zaczął dziobkiem okruszyny przebierać, co która mniejsza, to znikła prędko, aż wreszcie natrafił na dość spory kawałek, przyjrzał mu się, schwycił go w dziobek, powstał z nim chwilę, ciekawie zaglądając do okna, a gdy się dość napatrzył, zważył swą zdobycz, zapewnił się, że ją udźwignie i doniesie, trzepnął znowu skrzydełkami i poleciał z powrotem.

Zajrzyjmy i my także do tego okna, do którego przed chwilą ten powietrzny gość zaglądał.

Zobaczymy pokój dosyć obszerny, umeblowany porządnie, choć nie bogato, czysto

i przyjemnie, choć nie wykwintnie. Znajduje się w nim łóżko, znać że jest sypialnią, biurko, musi więc być pracownią zarazem, kanapa, fotel, kilka krzeseł, stół na środku,—może i bawialnią stanowi, na stole stoi przybór śniadanny, więc i jadalnia tam się mieści. Na pierwszy już rzut oka poznać można, że to całe mieszkanie i to mieszkanie kawalerskie, bo nie nigdzie nie spostrzegamy, coby oznajmiało kobietę, nie, oprócz porządku chyba, lecz porządek lubią czasem i kawalerowie, zwłaszcza starzy.

A więc gospodarz jest pewno starym kawalerem?... O! nie, bynajmniej.

Przypatrzmy mu się. Jest to człowiek dwudziesto-pięć-letni mniej więcej, wysoki, brunet, z ciemnym, a miłym okiem, dodającym życia jego pociągłej twarzy, z dość bujnym wąsem, dodającym jej mękości, z piórem za uchem, które także czegoś dodawać miało—najpewniej biurokratycznej powagi.

Ubrany jest tak jak jego mieszkanie, to jest nie elegancko, ale przyzwoicie, nie kosztownie, ale gustownie, gotów widać do wyjścia na miasto, i to nie do biura, bo święto, lecz może do kościoła, może na przechadzkę, bo dzień prześliczny, pogoda jak rzadko.

Jest on urzędnikiem z magazynu solnego, a na imię ma pan Kaźmierz,—nie Kaźmierz poprostu, lecz pan Kaźmierz, o czym nie należy zapominać. Tak go nazywali i nazywają wszyscy, i pani Jagodowska, wdowa, od której odnajmuje pokój, osoba pełna wspomnień o swym nieboszczyku mężu, i kłedzy biurowi, i stróż kamieniczny, i wszyscy, nawet sąsiadka, panna Tekla, również odnajmująca pokój od tej samej pani Jagodowskiej.

Ale o sąsiadce za chwilę.

Pan Kaźmierz, z którego imieniem zrosł się nierozłącznie tytuł, co prawda niepotrzebujący bynajmniej sankcji heraldycznej i każdemu równem służący prawem, skończył właśnie śniadanie, które nie wiedzieć czemu jadł z piórem za uchem, i stojąc przy stole patrzył w okno, do którego przed chwilą wróbel zaglądał.

— O! o!—mówił do siebie pan Kaźmierz,—jaki duży porwał kawałek!... ręczę, że ma żonę i dzieci. Zaniósł śniadanie dla swojej rodziny... pocziwina wróbel, gospodarz, zabiegły... aż miło!... A no, kiedy odleciał, to korzystajmy z czasu... zamała mu nasypałem.

Pokruszył szybko w rękę kawałek bułki, poszedł do lufcika, posypał znowu jak poprzednio, zamknął okno i patrzył w nie, odsunąwszy się o kilka kroków.

— Hm!—myślał znowu,—coś go nie widać... daleko pewnie mieszka... żona go bureczy może, że się zasiedział w mieście, że jadł śniadanie po drodze i wraca bez apetytu... Oj! te żony! wszystkie jednakowe, wróblisce czy nie wróblisce... Cheć się tu człeku żenić, gdy masz przykład z wróbla!...

Znudziło się widać czekać panu Kaźmierzowi, bo odszedł od okna, a odchodząc mówił do siebie.

— Eh!... zadługo nie wraca, szukać go nie będę... wolę na innego ptaszka czatować.

Zbliżył się do drugiego okna, umieszczonemu w ścianie bocznej i otworzył je.

Prostopadle do ściany, w której znajdowało się to okno, szła inna ściana, do tegoż samego domu należąca, w której podobnie znajdowały się okna. Pod najbliższem z tych okien, którego ręką dosięgnąć było można, była wystawka przeznaczona do wystawiania kwiatów, aby użyły słońca i świeżego powietrza; na tej wystawce stało kilka doniczek, okno zaś było zupełnie zasłonięte firankami.

— Zasłonięte!—rzekł w myśli pan Kaźmierz,—wiecznie zasłonięte!... jakby to grzechem było chociaż raz na dzień pokazać się komuś, z kim się mieszka pod jednym dachem i do tego okno w okno... I kiedy ona podlewa te kwiatki?... kiedy je wystawia?... kiedy sprząta?... Co chwila patrzę do tego okna i wszystko na nic... Zawsze tak się uwinie, że ani rusz!... Ja do okna, a tu nie ma doniczek, choć były przed chwilą, albo podlane, choć żadnego nie słyszałem szelestu... Musiała oliwą wysmarować zawiasy... To mnie już doprawdy gniewać zaczyna... Od tej chwili postanawiam sobie nigdy nie zajrzeć do tego okna... Wolę pisać dalej ćwiczenia francuzkie... albo się uczyć konjugacji, bo do licha! jak na urzędnika magazynu solnego nie wypada nie umieć po francuzku...

Z takim postanowieniem odszedł pan Kaźmierz od okna, i zbliżając się do biurka koniugował.

— *Indicatif présent. J'aime, tu aimes, il aime, elle aime...* Doprawdy ten język francuzki jest dowcipny... W dwóch literach *L. M.* mieści całą tajemnicę miłości... jak to brzmi pięknie: *elle aime*, pytająco: *aime-t-elle*, przecząco: *elle n'aime pas...* nie, to brzmi niedorzecznie... Ze wszystkich czterech sposobów przeczący jest najnieznośniejszy.

To mówiąc zasiadł przed biurkiem, na którym leżał papier i książki.

— Trzeba dalej pisać na cztery sposoby,—mówił wyjmując pióro z ucha i pochylając

się nad biurkiem,—na czemże to stanąłem?... aha! *futur simple*, czas przyszły, piszmy.

I pisał wymawiając głośno:

— *J'aimerai, tu aimeras, elle aimera... je n'aimerai pas...* trzeba i to wpisać dla kompletu... choć to fałsz... ale cóż robić?... mój czcigodny nauczyciel, monsieur Latartine gniewałby się gdybym opuścił... piszmy dalej... *tu n'aimerai pas, il n'aimera pas, elle...*

Doszedłszy do *elle n'aimera pas* pan Kaźmierz cisnął z gniewem pióro.

— Nie tego już nie napiszę... mógłbym w złą godzinę napisać!... jest to forma zupełnie niepotrzebna w konjugacji... gniewa mnie ten język francuzki... Wolę patrzeć na wróbla.

Zerwawszy się od biurka pan Kaźmierz podszedł do okna, na którym karmił swoich drobnych stołowników. Lecz że był mocno zagniewany, więc zbliżył się do niego tak szybko, że wróbel, który się właśnie raczył, odleciał przestraszony z próżnym dziobem.

— A! zestraszylem go!... biedny ptaszek,—rzekł do siebie,—trzeba odejść od tego okna.

Zaledwie pan Kaźmierz przestał patrzeć w okno sąsiadki, okno to otworzyło się szybko, ukazała się przez nie drobniutka biała rączka, postawiła na wystawce jeszcze jedną doniczkę i również spiesznie jak cicho napowrót za sobą zamknęła.

Doznawszy niepowodzenia i z konjugacjami i z wróblem, pan Kaźmierz mimo woli nie zwrócił się ku oknu, do którego postanowił nie zaglądać więcej i myślał:

— I coby tej sąsiadce zrobić znowu za psotę, za tajemniczość jaką się otacza. Nie jestem przecież bazyliżkiem, żeby się kryć przedemną... Mieszkamy pod jednym dachem, a sąsiedztwo ma swoje prawa... Gniewać się na mnie nie ma o co... Kląniam się jej tak grzecznie, gdy ją spotkam na schodach lub u Jagodowskiej, ba! nietylko się kląniam, lecz mówię tyle komplementów... Wprawdzie wzrokiem tylko, lecz do języka oczu niepotrzeba słownika jak do francuzczyzny... A ona zawsze ucieka, zawsze się kryje... Doprawdy ukarać ją potrzeba!... zerwę jej różę.

Z tą myślą był już przy oknie.

Gdy stanął przed nim zaczął przecierać oczy.

— A to co?... czy śpię, czy mi się zdaje?... nowa doniczka, w tej chwili postawiona!... i ja się nie spostrzegłem... Ach! jakież zemnie... jakież ze mnie... Gdybym nie szanował w sobie urzędnika magazynu solnego, to bym sobie wielkie głupstwo powiedział... powiedziałbym, że jestem do niczego, po francuzku *vaurien!*... doprawdy zasłużyłem na to. Ale czekaj, sąsiadko, pomszczę się srodze... już po twojej róży!...

To mówiąc pan Kazmierz sięgnął ręką za okno, lecz ledwie sięgnął odskoczył jak oparzony, bo i oparzony rzeczywiście.

— Aj! aj! a to co znowu?—wołał sykając,—mówią że róża ma ciernie, które kolą... to fałsz przeciw któremu protestuję... róża nie kłuje, ale parzy... Aj! co tu bąbli.—aj! jak boli... A cóż to za złośliwa kobieta!... Więc w tej nowej doniczce była pokrzywa, a ja, głupi, nie spostrzegłem. Śmieje się ze mnie teraz i ma prawo.

Spojrzał z bólem serca na rękę.

Czem tu opatrzyć?... co przyłożyć?... Nie, tego już darować niepodobna! Oparzyć urzędnika magazynu solnego, to przechodzi wszelkie pojęcie... Przedewszystkiem weźmy *corpus delicti*...

Lecz nim pan Kazmierz powziął to postanowienie, nim się nabolewał i nawyrzekał, *corpus delicti* znikło już z wystawki, gdy się więc zbliżył, żeby je sprzątnąć, mógł tylko zawołać:

— Doniczka już znikła!... po francuzku *elle est partie!*... gdybym nie był urzędnikiem magazynu solnego byłbym powtórnie do niczego. Mimo to wszystko płazem tego puścić niepodobna. Wypowiadam wojnę sąsiadce.

W tej chwili otworzyły się drzwi i kobieta około lat pięćdziesięciu, dosyć otyła, w dużym czepcu, w kraciestej sukni, z nieodstępnym fartuchem weszła do pokoju.

Ach! pani Jagodowska,—zawołał pan Kazmierz,—spadasz mi pani jak z nieba, potrzebuje właśnie współczucia, po francuzku *compassion*, patrz pani...

To mówiąc pan Kazmierz pokazał swojej gospodyni niemiłosiernie oparzoną rękę.

Pani Jagodowska przyjrzała się jej pilnie, pokiwiała głową, westchnęła, a nareszcie rzekła:

— Nie piękniejszego.

— Piękne nie piękniejszego,—odparł pan Kazmierz z gniewem,—najpiękniejsze oparzenie pokrzywą.

— Ja też powiadam, że nie piękniejszego,—powtórzyła gospodyni,—bo i kto widział nie strzedz się pokrzywy?... Nieboszczyk mój mąż...

— Pozwól pani... Nieboszczyk mąż, gdybyś go pani chciała sparzyć pokrzywą, pewnoby się tego nie ustrzegł. Tak też i ja, kiedy się ma sąsiadkę, która chce wojny, to się jej wypowiada wojnę, po francuzku *la guerre*, chociażby na pokrzywy, po francuzku... nie wiem jak.

— Wojna... nie piękniejszego!...—zawołała z przestachem pani Jagodowska,—wojna w moim domu... tego jeszcze brakowało!...

— Właśnie też odtąd i tego brakować nie będzie. Wojna, wojna zawzięta! A że rozpoczynając wojnę, strony wojujące zwykle starają się zapewnić sobie przymierza, po

francuzku *les alliances*, więc i ja także robię pani w formie *ultimatum* pytanie: jesteś pani za mną, czy przeciw mnie?...

— Nie rozumiem pańskiego *pultynatu*, panie Kazmierzu,—odpowiedziała na to pani Jagodowska,—z panem tu wiecznie przecież być nie mogę, a przeciw panu także nie mam nic...

— Więc chcesz pani zostać neutralną?...

— Nic piękniejszego panie Kazmierzu, ja przecież zawsze jestem naturalną... Mój mąż nieboszczyk mi to przyznawał.

— Zkąd wynika, że co bądź wypadnie, pani się temu opierać nie będziesz. Wojna to wojna.

Słyszac ten wyraz ustawicznie powtarzany, pani Jagodowska zamierzyła nareszcie spytać się o jego znaczenie.

— Co za wojna?.. jaka wojna?.. zkąd wojna?..

— Z kim wojna, chciałaś pani pewno powiedzieć... Wojna z panną Teklą...

— Z panną Teklą!... mój Boże... z tą dziewczyną poczciwą, spokojną, od rana do wieczora zamkniętą w swoim pokoju za zasłoniętymi firankami, i zajętą robotą, jak nie piękniejszego, choć mogłaby próżnować i żyć spokojnie z procentu od dwunastu tysięcy, które ma w Banku po rodzicach... I o cóż to z nią wojna? panie Kazmierzu.

— O wszystko... o robotę, o zasłonięte franki, o spokojność, a przedewszystkiem o te plamy czerwone na mojej ręce...

— Więc się państwo pokłóciliście!... o! ja nieszczęśliwa... kłótnie w moim domu... nie piękniejszego,—narzekała Jagodowska, zalamując ręce...

— Pokłócili, nie pokłócili,—odparł pan Kazmierz,—ale sobie robimy i będziemy robili na złość!

— Zkądże taka zawziętość?...

— Z niczego, albo raczej z tysiąca powodów. Pani, która nas codziennie tak często i tak długo widzisz rozumieć to powinnaś...

Pani Jagodowska szukała przez chwilę w myśli tego, co zdaniem pana Kazmierza, tak dla niej powinno być jasnym, lecz nie podobnego znaleźć nie mogła.

— Nie piękniejszego,—rzekła nareszcie,—nie powiadam, że nie rozumiem, gdybyś pan jednak choć trochę objaśnił...

— Tobys pani zrozumiała dokładniej,—dokończył pan Kazmierz,—i owszem. Otoż widzi pani jestem urzędnikiem magazynu solnego...

— Nic piękniejszego, panie Kazmierzu.

— Sól jest przyprawą potraw, sól to synonim dowcipu, bo dowcip jest solą mądrości. Wszak prawda pani?...

— W istocie... kucharka żeby nie przesolić rosółu...—zaczęła pani Jagodowska.

— Nie idzie tu o przesolony rosół,—przerwał pan Kazmierz,—ale o sól attycką. Wra-

cając do rzeczy, dumny jestem z mojego urzędu, bo on mi daje pozycję w świecie, którą ceniono wszędzie gdzie tylko mieszkał, na Topielu, na Tamce, na Czerniakowskiej, nim nareszcie sprowadziłem się tutaj.

— A!... nareszcie sprowadziłeś się pan tutaj... nie piękniejszego... cóż dalej?

— W tem oto oknie zasłoniętem wiecznie firankami mieszka panna Tekla...

— Nic piękniejszego dziewczyna.

— O! co do tego to się zgadzam z panią,— potwierdził pan Kaźmierz,— otóż będąc urzędnikiem magazynu solnego, sądzę, że pozycja moja i tak bliskie sąsiedztwo, pozwala mi zaznajomić się z panną Teklą, w mieszkaniu pani, jako naszej wspólnej gospodyni.

— Nic piękniejszego.

— Przeciwnie pani, jest to bolesne dla mojej godności. Daje to do myślenia, że urzędnik magazynu solnego nie ma dosyć soli attyckiej do poprowadzenia rozmowy... Ale nie dosyć na tem... Chcąc się bądź co bądź zaznajomić, zacząłem się kłaniać panie Tekli, ile razy ją spotkałem na wschodach...

— Kłaniać się... ukłon jej się należy... nie piękniejszego, panie Kaźmierzu.

— Kłaniając się mówię zawsze *bon jour mademoiselle* co po polsku znaczy: dzień dobry pani! Panna Tekla na ukłon odpowiada ukłonem, ale na dzień dobry milczeniem...

— Nic piękniejszego.

— Bynajmniej pani, moja godność jest tem dotknięta. Nie zrażając się tem jednakże, zacząłem dalsze kroki, zawsze w celu zabrania znajomości. Rozpocząłem od kupienia bukietu... przeslicznego bukietu... położyłem go między doniczkami na wystawce... W godzinę potem patrzę, bukiet leży na podwórzu... — Wiatr może zrzucił, — zauważyła gospodyni.

— Ja nawet sam myślałem, bom położył na samym brzegu. Zawsze jednak właścicielka wystawki odpowiedzialną jest za to co się na tej wystawce kładzie...

— Nic piękniejszego... a to zkaż takie prawo?...

— Mniejsza o prawo... dość że nazajutrz powtórzyłem próbę z bukietem. Tą razą położyłem go lepij, a wyszedłem na tem jeszcze gorzej. W godzinę znalazłem bukiet u siebie tu, pod tem oknem. Tego już na wiatr spędzić niepodobna... zwrócono mi mój prezent pod moim własnym adresem. I jak się to pani podoba?...

— Nic pięk...— zaczęła pani Jagodowska.

— Nic szkaradniejszego chyba,— rzekł, nie

dając jej skończyć pan Kaźmierz,—nie mogąc tego przenieść napisałem bilecik wymawiający nader grzecznie sąsiadce jej srogie obchodzenie się z niewinnymi kwiatami i jeszcze niewinniejszym sąsiadem. Bilecik nieroztworzony wrócił tą samą drogą. Onegdaj wieczór położyłem swoją fotografię, i postanowiłem nie otwierać okna. Wczoraj rano zobaczyłem swój portret przyklejony do mojej szyby!... To mnie już rozgniewało do reszty, i postanowiłem się mścić, *me venger* po francuzku. Kupiłem motek nici i tak niemi pookręcałem wszystkie gałązki kwiatków, tak je poplątałem jedne z drugimi że trzeba było anielskiej cierpliwości, ażeby to wszystko rozplątać. Panna Tekla porozplątywała nim jeszcze powróciłem z biura. Dziś rano chciałem się mścić znowu, zrywając różę. Sięgnąłem po nią i oparzyłem się zdradziecko podstawioną pokrzywą. Wszystko to znaczy, że panna Tekla chce wojny, dla tego proszę, żebyś jej pani wypowiedziała wojnę w moim imieniu...

Pani Jagodowska cofnęła się oburzona.

— Nic piękniejszego... właśnie ja też na to pozwolę!

Ta protestacja nie ochłodziła wcale pana Kaźmierza, lecz owszem podniosła jego bojowniczy zapał.

— Jak pani nie pozwolisz, — odparł, — to rozpocznę wojnę i z panią... Wszak chcąc wynająć ten pokój, napisałaś pani na karcie, „dla osób lubiących spokojność...” nieprawdaż?...

— Prawda.

— I jak pani mogłaś to pisać, kiedy mnie tu parzą pokrzywą?...

Pocziwa gospodyni nie wiedziała jak się tłumaczyć.

— Widzisz pani, że mam powód do wojny, po łacinie *casus belli*... Jeżeli jednak chcesz jej uniknąć, jest na to sposób.

— Nic piękniejszego, jaki sposób?

— Skłoń pani pannę Teklę, najprzód, żeby wzięła te dwa zwiedle bukiety, bilecik i fotografię, które są tutaj na tem biurku, powtóre, żeby mi powiedziała sama, że żąda pokoju i zgody. Od tego dwojga odstąpić nie myślę. Zostawiam czasu godzinę na przyjęcie lub odrzucenie tych warunków, teraz zaś idę na miasto, a za powrotem rozpocznę kroki nieprzyjacielskie.

To powiedziawszy pan Kaźmierz pożegnał ukłonem swą gospodynię, słuchającą uważnie i z pewnem nawet przerażeniem jego stanowczej woli, i wyszedł. (D. c. n.)

LOSY WSI.

Z ARTYKUŁU P. JUSTYNA AMÉRO.

Zajmujący szkic z natury ogłosił p. Justyn Améro, pod tytułem *Wies w Anglii*, który dla polskich czytelników, stanowić może porównanie włościańskiego stanu we Francji i Anglii, a w ogólności jest nader pouczającym. „Zmiany polityczne naszych czasów, powiada autor, dały we Francji wsiom tak wielkie znaczenie, że je od razu podniosły do godności miast. Od dwudziestu blisko lat wies francuzka, przestała być jedynie ogniskiem rolnictwa, a stała się polityczną potęgą. Ważność jój stała się (skutkiem powszechnego głosowania) rzeczą liczby.

Rzeczywistą ważności wsi jest jeszcze dowodem to, że się nią ciągle zajmują — w rozmowie, w książkach, w dziennikach, na teatrze, wszędzie włościan pełno, a wiadomo że na świecie dla pochwały czy dla obmowy, zajmują się zwykle tylko temi ludźmi, co mają jakieś znaczenie.

Jakże bo dziwne były losy wsi we Francji! Przed 1789 nie była niczem, od 1789 do 1848 stała się czemś, od 1848 jest wszystkim. Włościanin do 1789 ma pana, następnie jest z pod jego przemocy wyswobodzony, po 1848 sam panem się staje. Na te przemiany lat piędziesiąt wystarczyło.

Wies angielska przeciwnie, nie podobnego nie przedstawia, z tój przyczyny zapewne, że swoboda u naszych sąsiadów nie od wczoraj bierze początek; nie jest cieniem, ale rzeczywistością. Anglicy mają wprawdzie jeszcze *panów wiejskich*, każda wies angielska ma swój dwór, a każdy dwór swego lorda czyli pana, co gotowo dać niepoehlebne o niej wyobrażenie, naszym postępowym umysłem. Lecz taka jaką jest, wies angielska zasługuje na bliższe rozpatrzenie. Wielkie miasta są wszystkie do siebie podobne i sądzimy, że tylko przez poznanie wsi, można dojść do należytego ocenienia danego kraju; tam to jak w wiernem zwierciadle dojrzeć można jego stan społeczny i polityczny.

W całej Anglii, wszechwładny wpływ arystokracji, wielkość publicznego majątku i mnogość stosunków przez ułatwienie komunikacji, wycisnęły na wszystkim piętno jednostajności. Na północy czy na południu, na wschodzie czy na zachodzie, wszystko tam na jeden dokonane sposób. Miasta, ulice, domy, według jednych i tychże samych zasad nakreślone i zbudowane; pokarmy i umeblowanie domów nawet jednakie; tożsamość w najdrobniejszych szczegółach — zwyczaj, obyczaj, gusta te same czy to w hrabstwie Kent czy Yorkshire.

Dla lepszego ocenienia poszukajmy sobie wsi *najprawdziwszej*, najbliższej określenia zrobionego niegdyś przez Akademię nauk: „jest to miejsce niezamknięte murami, zapełnione głównie domami włościan,” trzeba więc wziąć wies najbardziej oddaloną od tego ruchu, który czyni kraj angielski podobnym do ula. Trzeba, żeby o ściany jój domów nie obił się nigdy świst lokomotywy. Rzecz to trudno znaleźć kącik taki, na ziemi całym pokrytą siecią kolei żelaznych. Ale oto jedna linja szczęśliwym trafem jeszcze niedokończona. Wsiądźmy z ostatniej stacji do tego powozu parokonnego i kaźmy się wies do wsi Fairfield, leżącej właśnie w tój części dziś zwanój hrabstwem Suffolk i Norfolk, w której jak wiadomo, wylądowali najpierwsi Anglo-Saksonowie. Droga którą jedziemy jest umiarkowanie szeroka, i w ciągłej z linją prostą sprzeczności, kręci się wężykowato jak alea parku; barwa jój żółtawa, odcięta jest z dwóch stron od pola, to podwójnemi żywymi płotami, to grubym wałem z ziemi, który bluszcz, lub inne, pnące się rośliny pokrywają, na wiosnę zaś pstrzą się na nim pierwiosnki. Po jednej stronie lekkie wzniesienie drogi służy za trotuar idącym piechoto, po drugiej zaś mały spadek przyjmuje wody deszczowe spływające przez żelazne rynny do podziemnych ścieków, zupełnie tak jak po naszych większych miastach. Tu i owdzie pokazują się gromadki drzew wyrastające z pośród zielonych miedz, które granice pól znaczą, od czasu do czasu zaświecą mury jakiego arystokratycznego pałacu z wielkimi oknami, występującemi na zewnątrz jak zamknięte balkony, z których na wszystkie strony rozejrzeć się można, ale otoż i pierwsze domy Fairfieldu, z początku rzadko rozsypane między drzewami, następnie ścieśniające się coraz bardziej. Przed niektórymi z nich wbity w ziemię słup rozdwojony u góry, jak widły, w pośród tego rozdwojenia zawieszony szylt wiatr kołysze; są to domy zajezdne i przed jednym z nich wysadza nas omnibus, który nas przywiózł.

Przeszedłszy się po ulicach i uliczkach, z których jedne ciche i bezładne, drugie ruchliwe i ożywione, dostrzegamy na jednych dostatek, a nawet bogaćstwo, na drugich ubóstwo i nędzę. Plac targowy otoczony wcale porządnymi domami, nie daleko ztamtąd, w głębi ulicy szerokiej i krótkiej wznosi się kościół, z murami pokrytymi krzemionką, która błyszczy od promieni słonecznych jak perlowa macica; dzwonnica ze strzelnicami

zdaje się oczekiwać zbrojnych rycerzy. Sklepy wzbudzają podziwienie swą obfitością względną i bogactwem towarów: tu świetna apteka, tam magazyn z kryształami, dalej sklep puszkarza, a na drzwiach sklepu piekarskiego znak fotograficzny. Na rogu placu zwrócił naszą uwagę sklep księgarski; księgarz ten jest także drukarzem, właścicielem papierni i agentem poczty listowej. Fairfield, myślicie sobie, ma jeszcze stary sposób przenoszenia korespondencji i cieszy was to, żeście znaleźli plamę i niedokładność w materialnym postępie; lecz gdy będziecie kiwać głową z lekceważeniem, może wzrok wasz padnie na dwa druciki, które się krzyżują pod nad placem targowym; byłżeby to telegraf? Tak jest, jeżeli wam się podoba, możecie przesłać depeszę do jakiego bądź miasta stałego ładu. Z Fairfeldu, malutkiej wioski liczącej około półtora tysiąca ludności możecie przemawiać do Indji, do Ameryki, słowem na wszystkie krańce świata.

Niedaleko księgarni odznacza się dom dwupiętrowy z czerwonej cegły, z białym kamieniem podmurowaniem, u wejścia jest napis rzeźbiony: *Bank*. Drzwi masyw mahoniowe jak wszystko co w tym kraju robią z drzewa, podłoga wysłana kauczukową siatką, ażeby szmer kroków przygłuszyć; na biurku leży właśnie łopatka miedziana do mieszania złota, mniej czynna zapewne niż u Londyńskich bankierów. Na przeciwko domu bankowego inny gmach oryginalnej budowy, coś nakształt biblioteki lub muzeum; jest to klub, czytelnia miejscowa, zamieniająca się w potrzebie w salę koncertową lub teatralną; wewnątrz wszystko jest skromne, czyste, wygodne, choć bez zbytku; wszędzie dywany lub plecionki, na ścianach karty geograficzne pokazują odmiennym kolorem 50 punktów świata, w których pawilon angielski powiewa. Wieczorem sala jest oświetlona gazem.

Domy są tam jak wszystkie w Anglii, wąskie od ulicy, lecz dosyć głębokie, wystarczają więc do wygodnego pomieszczenia; dwa okna od frontu i jedno lub dwa piętra; dachy kryte dachówką, a gdzie niegdzie i słomą; domki chłopskie odznaczają się okienkami, których szyby oprawne w ołów, lecz wszystkie domy, tak zamożniejszych jak ubogich, mają główną cechę ogólną: skrobaczkę do błota obok drzwi, a młotek na drzwiach szczelnie zamkniętych; numer domu wypisany nad młotkiem. Koło kościoła rozciąga się cmentarz wesołego pozoru, kto wie nawet czy cyprysy których tam nie ma, nadałyby mu jaki pozór smętny; jest to najprześliczniejszy trawnik przerywany doskonale utrzymanymi ścieżkami jak w angielskim ogrodzie, grobowce i marmurowe płyty widać tu

i owdzie; na rogach skrobaczki do błota, kolowroty i latarnie gazowe.

Jednakże Fairfield nie jest *miastem* pod każdym względem, aptekarz sprzedaje tu sardynki, zegarmistrz jest puszkarzem, a po fotografię trzeba się zgłosić do piekarza, ale ten wiejski aptekarz praktykował w Paryżu; a kommisant bankowy utrzymywał rachunki pewnego domu handlowego w Kalkucie.— Jeżeli się wdasz w rozmowę z tą arystokracją wiejską, przez dziesięć minut opowiedzą ci co się dzieje we wszystkich 5ciu częściach świata, wszystko bowiem jest im wiadome. Nad tą klasą mieszkańców stoi proboszcz, doktor, dyrektorowie kilku szkół, a jeszcze wyżej pan zamku, każdy zaś zamek mieści pana. W okolicy mieszka arystokracja wszelkich stopni; jako najnowsze warstwy społeczne widzimy włościan i robotników.

Wieśniacy którycheśmy spotkali na ulicach, byli ubrani skromnie tak jak wypadło; o kobietach tego powiedzieć nie możemy. Ktoby się domyślał że w Fairfield jest tyle kapeluszy z kwiatami i piórami, tyle szalów, tyle wstążek jedwabnych... Każda z kobiet, które spotykaliśmy miała kapelusz spadły na jej głowę z głowy jakiej bogatszej kobiety; młode i stare wlokły za sobą szal, spiczastym jego końcem zamietając ulicę. Służące przy pracy miały suknie z lila perkaliku, które jest jakby ich mundurowem ubraniem na całej przestrzeni Anglii; czy zamietają ganek czy czyszczą młot miedziany, kapelusz nie schodzi z ich głowy. Po sprawunek nie wyjdą bez szala bodaj poplamionego i dziurawego; w kapeluszu i krynolinie praczki rozkładają bieliznę na murawie; jeżeli nie w kapeluszu, to choć w krynolinie wieśniaczki idą do żniwa. Nie mniej wygodnego: żniwiarka wyciąga ręce a zboże się oddala jej spódnicą odepchniętą, lecz zwycięża te przeszkody zręczność niewieścia. Mężczyźni z klasy rzemieślników mają te same pretensje co kobiety, zobaczcie ich w niedzielę: pokażą się wam przeistoczeni w *gentlemenów* tak, że ich nie poznacie; będą ubrani czarno od stóp do głów, na głowie kapelusz prostopadłe położony, kapelusz paryzki!

Jeżeli sądzić z tego będziemy Fairfield, przekonamy się, że pod względem materialnym stoi wyżej od wsi w ogólności uważanej; dając wszelkie korzyści cywilizacji przypomina bardziej ułamek jakiego wielkiego miasta, oprócz bowiem gwaru, ma wszystkie jego pozory. Ale to nie dosyć, nawet zostawszy dłużej i przyjrząwszy się baczniej, utwierdzimy się w tem mniemaniu. Wygoda i czystość znajdują się wszędzie, w domu i na ulicy. Oddajmy tę sprawiedliwość anglikom, że od dawna umieli być obywatelami, umieli zapewnić sobie swobodę, spokojność i dobrobyt

domowy. Nawet ubogi pomiędzy niemi używa wygód które nie wypływają ze zbytku, ale są te same dla wszystkich klas. Czy z zamiłowania, czy skutkiem klimatu anglicy żyją więcej w domu jak na ulicy, umieli też ten dom przyjemnym uczynić. Jeśli ci ofiarują szklanę herbaty nawet w ubogim domu, znajdziesz tam czystość i cały zupełny komplet przyborów. Imbryczek jest z metalu białego i świecącego jak srebro, noże ostre, chleb położony porządnie na tacy z rzeźbionego drzewa, a masło pod szklanym kloszem. We Francji i gdzie indziej, przynajmy to szczerze, dadzą nam bardzo często u osób tej samej kondycji, czajnik pogięty, lub nadtłuczony noże czarne i tępe i resztę według tego.

Unosimy się nad praktycznością anglików, ale lepiejby było mniej ich chwalić, a więcej naśladować; lecz są to może przymioty rasy i temperamentu, anglicy bowiem we wszystkim tak postępują i w polityce i prywatnem życiu. Jakże się dziwić porządkowi i czystości Fairfield zobaczywszy skrobaczki od błota nawet przy wejściu na cmentarz, nigdzie tam nie spotykamy kup śmieci jak w wioskach francuzkich, nigdzie cuchnących ścieków jak na południu; tam bowiem cywilizacja materialna ugrzęzła od wieków i jeżeli się nie cofa to pewno nie idzie naprzód. Zeszłego wieku mówiono:

„Od północy dzisiaj przychodzi nam światło.”

Niech tam sądzą społeczeńsi czy ono nam z północy czy z południa przychodzi, lecz to nie ulega wątpliwości, że nigdy z południa nie przyszedł nam przykład czystości i higieny.

W Fairfield każdy pragnie dowiedzieć się o wszystkim co się dzieje na całej kuli ziemskiej. Londynem zajmują się tylko z przyczyny parlamentu, żaden naród, wyjąwszy amerykańów, nie dba tak o wiadomości szybkie i pewne; prości wieśniacy kupują dzienniki po pensie.

Chodziliśmy raz po placu czytając wiadomości z Francji w dzienniku świeżo z Londynu przybyłym; kilkoro dzieci obojój płci za nami biegalo przypatrując się naszemu czytaniu.—Co chcecie? pytamy.—Waszego dziennika jak skończycie.—Na co?—Żeby go w domu przeczytać. I z usmiechem wdzięczności przyjęli prezent, a zardzość malowała się na twarzach tych, którzy go nie dostali.

Cheecie widzieć jak upragnione są tu wiadomości, (przez to należy rozumieć wiadomości polityczne), czekajcie do soboty w wieczór. Rozchodzi się wieść, że przybyły dzienniki z Londynu i sklep księgarza zostaje obleżony tak jak piekarnia w czasie głodu. Dzienniki przychodzą zwinięte jak sztuki materji, a księgarz z całą familją zajmuje się składaniem ich wé dwoje lub czworo, ale

nie mogą podolać robocie; w kilka chwil cała ta strawa umysłowa jest rozzerwaną.— Ci ludzie prości, ocięzali, ponurzy, których piwo odurza a praca wycieńcza, przepędzą jednak cały wieczór sobotni i pół niedzieli na czytaniu opisu zdarzeń całego tygodnia i ich ciekawość nie zostanie zawiedziona, bo dzienniki angielskie nie mając tytułu *uniwersalnych* są uniwersalnemi w istocie, i dostarczą im rozlicznych wiadomości; wolne od wszelkich opłat, mogą za małe pieniądze wszędzie rozleść wiadomość co się stało na szerokim świecie.

Jaka przepaść między tą zbawienną chciwością wiadomości i tem obfitem ich doniesieniem we wsi angielskiej, a z drugiej strony obojętnością francuzkiego włościanina.

Skoro wymawiamy wyraz *wieś* wyobraźnia przedstawia nam same wdzięczne obrazy prostoty, szczerości i skromności. Na wsi, tylko na wsi można spotkać jeszcze cnotę, uczciwość—sądzimy; lecz Fairfield temu wyobrażeniu nie odpowiada i wyznać należy, że podczas kiedy włościanin francuzki, jest nie tylko niewyrozumiały ale nawet srogi na wszystkie wykroczenia przeciw skromności, we wsiach angielskich zepsucie napotka nie tylko pobłażanie ale nawet zachętę, która z nędzy bierze początek. Nędzę bowiem napotkać można wielką we wszystkich wsiach Anglii, dobrobyt włościan zmniejszył się skutkiem zmian zaszłych w uprawie gruntu i oni zubożeli podczas gdy panowie się bogacą.

Z tego wszystkiego widzimy, że Fairfield nie odpowiada wyobrażeniu wsi, a jednak jest ono o ile można wsią, z tego wypada wniosek, że prawdziwa wieś nie istnieje w Anglii, a jej obrazy jakie nam kreślą były prawdziwe przed 30 laty, a zatarły się zupełnie od czasu jak Stephenson puścił pierwszą lokomotywę. Wieś teraz stała się tylko miniaturą miasta.

Nie zaprzeczona wyższość wsi angielskiej nad francuzką, leży w wykształceniu, a jeżeli ten wyraz przesadą trąci powiedzmy w czytaniu. Wieśniak angielski czyta dzienniki, francuzki zaledwie jeden jeżeli czytać umie, co nie zawsze się zdarza. Jest to bowiem rzecz rażąca zdrowy rozsądek, że w kraju, w którym od lat dziewiętnastu wprowadzono głosowanie powszechne, jest jeszcze dużo obywateli nie umiejących czytać. Jeżeli tedy (powiada francuzki autor) zgodzimy się na to, że nasza epoka, jest epoką postępu, trzeba wyznać, że postęp ten nie idzie naturalnym rzeczy porządkiem i sąsiedzi nasi z za Renu słusznie nam zarzucają, że my budowania nasze od wierzchu zaczynamy.”

Fairfeld więc dało nam wyobrażenie o wsi angielskiej. We wszystkich wprawdzie państwach Europy, znajdujemy prawie wszystkie

te przyczyny, które podkopują obyczaje uczciwe wiosek, ale nigdzie nie są one tak liczne i tak rozwinięte jak w Anglii. Ci mają tylko koleje żelazne, a nie mają fabryk tyle, tamci lubo mają koleje i fabryki, lecz ziemia jest u nich podzielna, nie skupiają jej tyle w jednym ręku, z czego dla jednych wielkie bogactwo, dla drugich nędza wynika. W Anglii przeciwnie, zbiegają się wszystkie przyczyny niszczące prostotę, skromność, uczciwość, i nigdzie czynniej jak tam nie działają; nigdzie też jak w Anglii nie ma miasta o trzech milionach ludności, którego wpływ rozciąga się do najbardziej oddalonych prowincji.

Jednakże cała Europa dąży do tego, aby mieć jak najwięcej fabryk, najwięcej kolei, handel najbardziej rozgałęziony; to czem dziś jest Anglja, jutro będą i inne państwa, nie idzie nam więc o to, aby potępiać Anglję, lecz aby zbadawszy fakta, zastanowić się nad sposobami wybrnięcia z niebezpieczeństwa.

Koleje żelazne porywają, przekształcają, a kto wie czyby nie można powiedzieć, burzą społeczność. Są to czynniki, których już każdy uczył potęgę. Za ledwie weszły w użycie, a jak zmieniają wszystko! Miastom nawet już za ciasno w dawnych obrębach, przekształcają ulice i rozwalają stare swe mury, że nie mówię już o odmianach jakie się dokonywają, w naszych oczach, w obyczajach domowych. Jeżeli więc miasta tak odczuły wpływ kolei żelaznych, cóż musiało się stać ze wsią? W Anglii, jeżeli gdzie jeszcze prawdziwa wieś istnieje, nie będzie jej śladu za lat kilka, a opisy życia wiejskiego, w książkach angielskich są tak prawdziwe, jak pasterki pędzla Watteau i Boucher'a,

We wsiach rozsypanych po górach księstwa Walji, gdzie mówią językiem, jakiego sami Angliacy nie rozumieją, a kobiety noszą wysokie, męskie kapelusze, jeszczebyśmy zapewne znaleźli jaki obraz sielski, ale oto

i walljczycy upomnieli się o koleje żelazne i otrzymali pozwolenie budowania ich, biorąc więc rzeczy w moralnym znaczeniu i te wsie znikną wkrótce.

Jest zatem prawdopodobieństwo, że i wieś francuzką ten sam los czeka; jest to tylko kwestja czasu, lecz data tego wypadku już oznaczona na niezapisanej jeszcze karcie historii cywilizacji. W miarę wzrostu publicznego bogactwa, wzrastać będzie ich materialny dobrobyt; porządek, troskliwość o zdrowie, wygody pójdą w ślad za oświeceniem i wykształceniem umysłu. Zachodzi tylko pytanie, czy razem z dobrodziejstwami cywilizacji, wsie nasze zostaną nawiedzone i przez jej kłęski, które zbyt często wydają się być jej nieodłącz-

nymi towarzyszkami? Temu ostatniemu dać wiary niepodobna. Jakto? więc byśmy tylko mieli wybór między dobrmi obyczajami w połączeniu z barbarzyństwem a cywilizacją idącą w parze z zepsuciem? Czy tę cywilizację przeklinać i odpychać? czy niepodobna używać jej darów bez ucierpienia od nieszczęść jakie wleczę za sobą?...

Nie ulega już dziś zaprzeczeniu, że cywilizacja lepsza jest od barbarzyństwa, idzie tylko o to, aby ją wprowadzić, nie raniąc się kołcami, a jeżeli

ją porównamy do pochodni, użyjmyż ją tak, żeby oświecała a nie paliła. Jest to przedmiot badania, który się dziś narzuca każdemu myślącemu człowiekowi. Widzimy nawet szlachetnych i śmiałych pionierów, co nie porzyskując na teorii, w czynach opinie swe przeprowadzają, uzacniają jakąś część społeczeństwa, na którą wpływ swój wyrzucić mogą. Takim jest między innymi pastor z Gawcott pan Whitehead, który ogromnie podniósł moralność swych parafjan, czuwając umiejętnie nad ich zabawami, takim we Francji p. August Guard. Lecz te indywidualne dążności jakkolwiek pełne zasługi, nie są w mocy tak wielkiego spełnić zadania; nie wystarcza tu wola pojedynczych osób, trzeba ogólnych usiłowań, trzeba nieustającej działalności prawa.



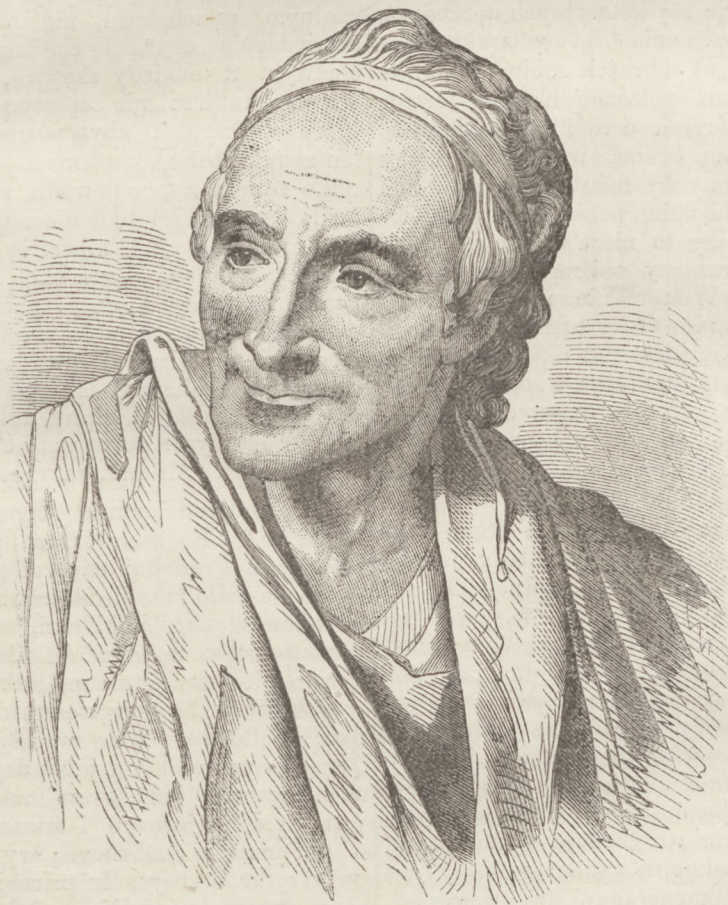
Pan Kaźmierz sięgnął ręką za okno, lecz ledwie sięgnął odskoczył jak oparzony (str. 163).

PROJEKT POMNIKA DLA WOLTERA.

Zdaje się, że w całej Europie nie ma kościoła mniej wyglądającego na kościół jak Panteon w Paryżu. We wspaniałem jego wnętrzu większa liczba obrazów mówi więcej o chwale Napoleona 1-go, niż o poświęceniu i mecie Boga-człowieka. Zbudowany na miejscu dawnego kościoła Ś-ej Genowefy, patronki Paryża, tam gdzie były niegdyś umieszczone jej śmiertelne szczątki, zawiera dziś grób Woltera i Rousseau! Z tych rozmaitych prze-

znaczeń budowli, która była raz panteonem sławy ziemskiej¹⁾, to znów świątynią czci Boga poświęconą, wynika zapewne to sprzeczne uczucie, jakie budzi, ale to nieczem jest w porównaniu wrażenia, które odbieramy zeszedłszy po szerokich jasnych schodach do podziemi, podzielonych jakby na sale. Wszystko tam nowe, piękne, wprawia w podziw, ale lży nie sprowadza do oka, czcią i tęsknotą nie przejmujemy. Z sarkofagu Jana

mieści.—Aż tu, nieco dalej stoi sarkofag drugi i obok niego po lewej stronie w niszy, posąg człowieka naturalnej wielkości, wychylającego głowę z pomiędzy fałdów rzymskiego płaszcza ku światłu na przeciw będącego okna. I wśród bladych promieni światła tego, rozeznac się daje na tej kamienną twarz zimne szyderstwo, co do głębi niesmakiem i wstrętem przejmujące. Doprawdy, gdybyśmy ten posąg pokazali naszym prostacz-



Volter

kom, pewnoby upatrywali czy z pod draperji płaszcza, nie wymyka się ów tradycyjny ogon, z jakim zwykle czarta malują, boć już uśmiech tej twarzy, to wyraźnie z jego wizerunków zdjęty. To tedy jest Wolter, któremu dzisiaj w Paryżu chcą wystawić pomnik ze składek narodowych, jako hołd oddany jego opinii. Bez wątpienia u nas trudno o sprawiedliwy sąd o Wolterze, kiedy jeszcze to i we Francji niepodobnem i zdaje się, że projekt po-

Jakóba Rousseau wysuwa się drewniana malowana ręka z pochodnią, symbol to światła (dość niezręczny), jakie ów filozof miał rozszerzać. Ach! nędzneż to światło, myślimy sobie, kiedy jeszcze tyle fałszów w niem się

mnika jest tylko zrobiony na złość, przez jedno stronnictwo drugiemu. Ludzie spokojni tak we Francji jak u nas, którzy nie czytali po większej części Woltera, powtarzają tylko bez żadnej krytyki, że to był straszny człowiek. Drudzy równie zapamiętali, a nie mniej bez podstawy nazywają go najwyższym w świecie genjuszem.

¹⁾ Roku 1791 kościół ten przeznaczono na świątynię przechowującą pamięć wielkich ludzi i dano napis na frontonie: „Wielkim mężom, wdzięczna ojczyzna.” (Aux grands hommes la patrie reconnaissante). Napis ten został, lubo r. 1851 gmach ten oddano znowu na odprawianie obrządków religijnych.

Nic śmieszniejszego jak spór, czy Wolter był demokratą, czy arystokratą? Dzisiejsi demokraci posądzają o wielki konserwatyzm pisarza, który był w ciągłym stosunku

literackich komplementów z Fryderykiem W. Najsluszniej podobno będzie przyznać, że Wolter nie miał żadnych z tych barw opinii, które dopiero nasze czasy zrodziły, że był człowiekiem swego wieku, tak jak pod wieloma względami był ogromnie od niego wyższym. Wychowany przez Jezuitów zachował coś z ich w zrzęcości, próbował swego talentu we wszystkich rodzajach i w każdym utworze jego napotyknemy zapal kaznodziejski do wykorzenia przesądów, powstawania na niesprawiedliwość, wołanie o oswobodzenie myśli ludzkiej od krepujących ją więzów. P. Deschanel, który na jednej ze swoich świetnych prelekcji, bronił go śmiało nie lękając się koteryjnych uprzedzeń, użył takiego porównania dla scharakteryzowania Woltera. „Wyobraźcie sobie,—rzekł,—dowódcę, któremu polecono wziąć fortecę czy miasto, a któremu o to idzie koniecznie, aby wszedł główną bramą w pełnym szyku bojowym, zamiast coby mógł wcisnąć swoich ludzi jednego po drugim, przez jakie przejście tajemne; o toż byłby to niezawodnie zły wojskowy, nie posuwający ani na krok swojej sprawy. Lecz Wolter nie miał żadnego skrupułu przystąpić do szturm w sposób jaki się dało. Nie idzie mu o paradę, wciska się wszędzie jak tylko można i stanął też narazie w fortecy wśród stropionych nieprzyjaciół. My, co korzystamy z jego zwycięstw, mówiliśmy dalej p. Deschanel nie rachujemy go ze sposobów, jakimi je otrzymał.”

Okoliczności, które zagnęły Woltera szukać schronienia w Anglii, wzbudziły w nim wielkie poszanowanie dla jej instytucji. To też wjazd swój do tego kraju opisuje w sposób tak liryczny, że daje nam obraz wyraźnie włoskiego nieba nad brzegami Tamizy, a ludzi przedstawia oddychających szczęściem i swobodą. Później, gdy go bliższa obserwacja przekonała, że i w Anglii jeszcze i ludziom i instytucjom wiele niedostaje, dopatrujemy w nim żart i sarkazm, że się tak sam omylił, lubo zawsze chętnie wykazuje o ile prawa Anglii były protekcyjne, podczas kiedy we Francji nie było pewności ani dla krajowców, ani dla cudzoziemców. Nie jeden przejeżdżając przez Francję był wsadzony do Bastylji i wypuszczony, nie dowiedziawszy się nigdy przyczyny, ani swego uwięzienia, ani oswobodzenia.

I w Anglii również nieprzyjaciele dosięgli Woltera swemi potwarzami. Rozsiano o nim pełno anegdotek uwłaczających jego sławie; tu jakiegoś protestanta miał oskarżyć, że jest papistą, tam zwaśnił się z poetą angielskim Pope, wygadując na religję w obec jego matki gorliwej katoliczki. Są nawet tacy, co mu zaprzeczają znajomości języka angielskiego, choć są dowody, że przez 3 lata

swego pobytu w tym kraju, nauczył się dobrze władać jego językiem, tak że nawet po powrocie do Francji narzeka, że stracił wprawę we władaniu językiem ojczystym. W Anglii widywał wszystkich ludzi znakomych tego kraju; gdy odwiedzał Congrewe'a niepospolitego poetę komicznego, ten to wziął za hold oddany swemu urodzeniu, co zniecierpliwilo Woltera, ceniącego przedewszystkiem talent i naukę. Przyszły tedy hrabia z Ferney, który swoją drogą umiał w potrzebie występować w roli pana i dziedzica, ale cenil swoje osobiste zdolności więcej nad wszystkie zaszczyty ziemskie, odpowiedział anglikowi: „Panie, gdybyś był tylko zwyciężającym szlachecciem, nie miałbym honoru odwiedzenia cię!” I chociaż go widzimy chętnym a niekiedy skąpym, jednakże gdy mu u bankiera nie zapłacono 20,000 fr. po które się zgłosił zbyt późno, gdy już dom ten zbankrutował, w pismach jego napotyknemy tylko żarciki z tego powodu, że mu dali kilka gwineów, a mogli byli nie dać.

Wolter raz ganil allegorję w „Raju utraconym” Milтона, o grzechu i śmierci. Był temu przytomny Young i patrząc na uśmiech szatański Woltera, na wymowę jego poryjającą, zaimprovizował dwa wiersze, których naturalnie Wolterowi nie powtórzył.

Jesteś tak dowcipny, tak nieokielznany i tak chudy, że gotowimy cię wziąć jednocześnie za Milтона za grzech i za śmierć.

W Londynie napisał Henryjadę, poemat o „Lidze.” Po 3-ach latach postarał się powrócić do Francji i uzyskał powrót; mówią, że go nie mało zniechęciła awantura, która się podobno skończyła batami, wyliczonemi mu przez jakiegoś wolnego anglika, ale kto wie czy to nie jest także anegdotka.

P. Gustaw Desnoiresterres dokonał studjów nad Wolterem, które wyszły pod tytułem: „*La jeunesse de Voltaire.*” Jest to dowodem, że obecna społeczność zajmuje się gorliwie wyrobieniem jasnego i sprawiedliwego sądu o tym pisarzu ¹⁾. Dawniej wyrzucano mu, że umiał tylko niszczyć. Zniszczenie złego już jest samo przez się wielkim dobrem, powiadają potomni. Jeżeli niszczył to nadużycia, zabobony, przesady. Gdy go się pytano, co położy na miejscu tego co obalił, odpowiadał: „Jam was uwolnił od dzikiego potwora, a wy się pytacie co na jego miejscu postawić.” P. Deschanel mówi o nim, że bombardował stare społeczeństwo z po za góry Jura, robiąc tu alluzję do jego mieszkania w Ferney (w Szwajcarji), z kąd swoje utwory do Paryża przysyłał. „Są dwa rodzaje bohaterów —

¹⁾ Dowiadujemy się, że w Anglii syn nauczyciela języka francuzkiego, p. Espinasse, wydał obecnie *Życie Woltera* w kilku tomach.

powiada Deschanel—jedni dogmatyczni, co umięją tylko wygłosić prawdę i umrzeć za nią, a drudzy ironiczni, mniej wzniosli może, ale pożyteczniejsi, którzy nie narażają się na stos, ale toczą z nieprzyjaciołmi prawdy zapamiętałą wojnę i srogie zadają im rany.”

Lecz czem wymowniej jeszcze p. Deschanel wykazał zasługi Woltera, to wylizaniem reform wszystkich dokonanych, aż do naszych czasów, o które on już wołał w swoim *Dykejo-narzu filozoficznym*. Bądź co bądź, jeżeli Wolter miał nieprzyjaciół i dziś nawet liczy takich co go nienawidzą na słowo poprzedników, był też, i wielkiej czci przedmiotem. Zewsząd zbiegano się, aby go zobaczyć. Gdy już 80 letni był na reprezentacji swojej *Ireny*, teatr mało się nie zawałił od oklasków. Lecz znowu wracamy do swego, że ten bohater ironiczny niefortunnie będzie wyglądał na pomniku wystawionym jako przedmiot uwielbienia dla całej ludzkości, i że takie należą się tylko tym drugim bohaterom, których Deschanel zwie dogmatycznymi.

Jeszcze za życia Wolter uczczony był dwoma posągami sławnych artystów; jeden z nich stoi w bibliotece *Instytutu*, drugi w *Comédie française*. Oba miały za cel słać literata, lecz skoro obecnie powstał pomiędzy niektórymi projekt uczczenia w nim demokracji, szyderczy filozof został sam posadzony na cenzurowanem. Powyciągano różne zapomniane anegdotki z dawnych czasów, które niechętni mu zabawiają dzisiejszą publiczność.

Projekt pierwszego posągu powstał na piątkowym wieczorze pani Necker, gdzie wotowali encyklopedyści, żeby stawić pomnik ze skladek samych literatów.

Pigalle, *Fidjusz* Pigalle, jak go nazywano będąc na tym wieczorze, miał sobie polecone uwiecznić w marmurze rysy wielbionego i zostawiono mu wyznaczenie ceny. Rozczulony zażądał *dziesięć tysięcy liwów*, nie licząc w to kosztów marmuru i podróży, co słysząc literaci, uznali że niezawadziłoby przypuścić do składki profanów i niewiadomo jakby było z wypłatą, gdyby kilku bogaczy nie dało sum znacznych.

Pigalle pojechał do Ferney i usiłował jak najkorzystniej przedstawić ów skielet, który

zwano Wolterem. Mimo jednak że mu dał charakterystyczne pióro i papier do ręki, miał niefortunną myśl zrobienia go nagim. Posypały się żarciki i epigramata:

Voici l'auteur de l' Ingénu
Monsieur Pigalle nons l'offre nu
Monsieur Fréron le drapera
Alleluia.

drugi łaciński, tak się wyrażał:

In poesia magnus
In historia parvus
In philosophia minimus
In religione nihil etc. etc. etc.

Gustaw król szwedzki przybywszy do Paryża i obejrzawszy dzieło Pigalla rzekł: Gdybym należał do składki na posąg, to tylko aby mu sprawić jaką odzież dla okrycia jego nagości.

Drugi posąg Houdona podarowany teatrowi, gdzie takie powodzenie miały sztuki Woltera, różnych doznał losów. Gdy go bowiem ustawiono między popiersiami innych, nieprzyjaciele odezwali się, że nie wypada aby Wolter tam siedział, gdzie Molier, Kornel, Rasin stoją, i wygnali Fernejskiego potentata do garderoby. Nastąpiły reklamacje i ostatecznie posąg stanął na dole, nie koniecznie w honorowym miejscu, bo tam gdzie czekają lokaje.

O modelowaniu tego posągu, jeden wielbiciel Woltera, który go znał u schyłku żywota, piękniejszy rys opowiada: „Houdon skarżył się przedemną że oblicze Woltera w czasie posiedzeń wyraża tylko nudę i że lęka się, aby nie zrobił coś bardzo miernego. Zaproponowałem mu, że przyniosę niespodzianie wieniec, który raz na przedstawieniu w *Comédie française* włożono na jego głowę wśród ogólnych poklasków; zaręczałem że pewno twarz starca ożywi się wspomnieniem i jeniuszem błysnie, a on wtedy schwył ten wyraz przelotny. Udało mi się projekt mój wykonać, lecz skoro złożyłem wieniec na tę szanowną głowę, Wolter odpychając mnie z godnością rzekł: Co robisz młodzieńcze? schowaj to na mój grób, który się już otwiera....

Rzeczywiście w kilka dni umarł.

J. Dobieszewska (Śmigielka).

POGADANKI NAUKOWE. — WĘGIEL I DJAMENT.

Można powiedzieć śmiało że nie sprzeczniejszym nie jest jak, węgiel i djament. Pierwszy jest czarny i nieprzejrzysty, drugi przypomina najczystsza wodę i lśni pod światło promieniami i barwami niepospolitej piękności. Pierwszy jest tak miękki, że ściera się i płami za samem dotknięciem, drugi przeciwnie tak twardy, że rysuje każde inne ciało bez wyjątku, od czego nawet poszła nazwa *adamas* niespożyty, jaką mu nadawa no w starożytności; nakoniec węgiel jest materiałem najpospolitszym i najtańszym, djament

przeciwnie, do najrzadszych i najdroższych należą. Ztąd wypadłoby, żeśmy tylko dla użydatnienia antytezy, te dwa przedmioty zbliżyli, ale w królestwie mineralnem, tak samo jak i w ludzkiej naturze, nie trzeba dowierzać powierzchowności i sądzić z pozorów; ten djament bowiem tak poszukiwany i ten węgiel tak pospolity są w istocie jedną i tą samą materją.

Weźmy *np.*: kilka próbek węgla w różnym stopniu czystości, jakimi są: węgiel kamienny, antracyt, węgiel, drzewny, używane zwykle jako paliwo; sadze, będące zasadą masy drukarskiej, węgiel zwierzęcy, przydatny do oczyszczania tak wody jak i cukru, koks, pozostałość z węgla kamiennego w czasie fabrykacji gazu do oświetlenia, grafit, używany do ołówków i nakoniec djament, przedmiot tylu pragnień.—Otóż wszystkie te ciała mają jedną zasadę, wszystkie bowiem mogą się palić i wydają podczas palenia gaz kwas węglowy, używany do nasywania napojów gazowych. Skoro zwyczajne odmiany węgla się palą, nikt się temu nie dziwi, każdy bowiem nawykł je widzieć używane jako materiały do oświetlania i ogrzewania, lecz jest to już mniej znanym faktem, że się podczas palenia wydziela gaz różny od powietrza atmosferycznego, gaz bezbarwny i niewidzialny jak powietrze, który uchodząc z ogniska rozprasza się w atmosferze.

Weźmy trzy jednakowe butelki, w których zawarta jest jedna z części składowych powietrza t. j. kwasoród czyli tlen; ten ma swą cechę wybitną, że jest zdolny rozpalić świecę na wpół już zgaszoną. Do jednej faszki wprowadźmy kawałek węgla drzewnego, który w tej chwili się zapala i znika, w drugiej faszce umieśćmy inną odmianę węgla, jedną z twardszych i zapalmy za pomocą elektrycznego stosu; wkrótce żarzy się będzie, co widząc wnioskować można, że węgiel w ogólności pali się w tlenie. Nie widać, ażeby w obu faszkach, utworzyło się jakieś inne ciało wśród palenia, lecz niedowierzajmy pozorom. Należy roztworu wapna we wszystkie trzy butelki, a zobaczymy, że w dwóch, w których palenie miało miejsce, zaraz się bardzo zmąci, w trzeciej przeciwnie pozostanie zupełnie czysty. Powiedzieliśmy już, że gaz powstały w czasie palenia węgla jest zasadą wszystkich wód gazowych, a więc i selcerskiej, dolejmyż ję trochę do wody wapiennej, to przekonamy się, że takie same powstaną męty, jak w dwóch pierwszych butelkach, w których się węgiel palił. Osad z tych mętów jest *węglanem wapna*, a ta nazwa przypomina kwas węglany i wapno, które mu dały początek.

Jednakże umysł najmniej uprzedzony niechętnie poddaje się twierdzeniu, że djament

i węgiel to wszystko jedno, zmieńmy więc kawałek djamentu na węgiel za pomocą stosu elektrycznego. Naprzód puszcza się przezeń prąd słaby, żeby nie popękał, gdy już jest rozczwieniony używa się prądu silniejszego i wkrótce djament przepada a na jego miejscu pozostaje kawałek koksu. Patrzmyż! to ciało przed chwilą białe i twarde, stało się czarnem i miękkim tak, że wała papier, umieśćmy go teraz w butelkę pełną tlenu i za pomocą stosu elektrycznego zapalmy. Widzimy, że płonie chwilę i znika. Dodajmy teraz wody wapiennej a po osadzie białym który się wnet utworzy, poznamy obecność kwasu węglowego. Tak zaiste, natura jest pełną przeciwności godnych podziwu, jakby Stwórca wszech rzeczy chciał pokazać, że utworzenie ich było dla niego tylko igraszką. Tak samo bowiem jak djament jest węglem, tak rubin, szafir, topaz są tylko krzemionką. będącą główną składową częścią ziemi ornęj; agat i opal nie są niczem innym jak kamieniem naszych bruków.

Dopiero w początku naszego wieku uznano tożsamość djamentu i węgla. Wprawdzie już z początku XVII wieku Anzelm Boece wyraził zdanie, że djament może być palnym; później Newton przewidział tę palność, wychodząc z tego, że wszystkie ciała palne odbijają promienie światła, a djament jest jednym z najmocniej je odbijających. Pierwsze doświadczenia tego rodzaju winniśmy Kosmowi W. Ks. Toskanji. Następnie opierając się na doświadczeniach kilku uczonych, Franciszek Lotaryngski Ks. Toskanji, późniejszy cesarz Niemiec kazał wytapiać w tyglu djamenty i rubiny wartujące 6000 ówczesnych florenów. Po 24-ch godzinach ogrzewania znaleziono rubiny nietknięte, djamentów zaś nie pozostało śladu. Te doświadczenia były powtórzone na mniejszą skalę przez biegłych chemików francuzkich, szło bowiem o przekonanie się, czy to było zwyczajne ulotnienie jak *np.*: wody, która się zmienia w parę podczas ogrzewania, czy palenie się takie jak siarki lub węgla, które znikają dla tego przy zetknięciu z powietrzem, że łącząc się z tlenem tworzą gazy niewidzialne. Rzecz była niedostatecznie objaśniona, kiedy Lavoisier ponowił doświadczenie, dostawszy objaśnienia od ówczesnych jubilerów, że djamenty można z różnych płam oczyszczać, gdy się je ogrzewa mocno w sproszkowanym węglu. Uznał tedy, że mniemane ulotnienie się djamentu, nie ma wtedy miejsca, gdy mimo ogrzewania jast zasłonięty od wpływu powietrza; wtedy zaś, gdy go ogrzewano na powietrzu znikał i dawał kwas węglowy. Ostatni krok w tym względzie zrobił p. Guyton Morveau, twierdząc nieodwołalnie, że djament jest węglem. Teraz nastęcza się pytanie, co się stało

w czasie téj zmiany? Przepuszczając prąd elektryczny przez djament zniszczyliśmy jego kształty krystaliczne. Zbadajmy teraz, co to jest ciało krystaliczne? Gdy się rozpatrujemy w minerałach, spotykamy ich znaczną część mających kształty geometryczne z kątami ostre, z powierzchniami gładkimi, jak gdyby je biegły artysta szlifował, takimi są: sól kuchenna, alun, djament. Patrzmyż na sól. Odlamek jój przedstawia nam kształt kubiczny, jaki nadają zwykle kościom do gry. Uważajmy kawałek alunu wyobrażający dwie, swemi podstawami zetknięte, piramidy, przedstawiające ośm powierzchni trójkątnych. Ta forma krystaliczna nazywa się ośmiościanem i taką ma djament. Jednakże znajdujemy go rzadko w kształtach ośmiościanu; najczęściej znajduje się w bryłach z 48-ma powierzchniami, które są tak drobne, że djament pozornie ma kształt kulisty, ale przekonywamy się o istnieniu tych krawędzi przeciągając djamentem po szkle i wtedy małe skrzywienie pokazuje, że one rysują szkło, a przy większem naciśnieniu jak najregularniej je przecinają. Ta własność przecinania pochodzi nie tylko z twardości djamentu, ale i z tego że jego krawędzie są krzywolinijne, a więc wbijają się jak klin w powierzchnię którą naciskają.

Widząc ten ład, i harmonję kształtów, mamy dowód porządku jaki jest głównem prawem natury. Jednakowoż są ciała nie posiadające tych linii regularnych, wtedy nazywamy je bezkształtnymi, czyli niekrystalicznymi; takimi są: koks, sadze, węgiel zwierzęcy. Teraz zachodzi pytanie, czy sami potrafimy utworzyć ciała krystaliczne? Tak jest, możemy je otrzymać przyprowadzając ciała do stanu ciekłego lub lotnego i następnie oziębiając je z wolna. Roztopmy np: siarkę i poddajmy ją, gdy już stanie się płynną, powolnemu oziębianiu, wtedy jój cząsteczki grupują się, układają regularnie w kryształy, tworząc arcydziela form geometrycznych. Inne substancje, jak jod, arszennik, przemieniają się w parę—otóż, gdy niedozwalając im się ulotnić w powietrzu, chłodzimy je z wolna, przybierają kształty geometryczne i tworzą piękne kryształy. Nakoniec, gdy jakaś substancja rozpuszczona w płynie osadza się w nim z wolna, przybiera także kształty krystaliczne. W taki sposób otrzymują cukier zwany lodowatym, tudzież piękne kryształy czerwone z dwuchromianu potażu, żółte z cjanku potassu, błękitne z siarczanu miedzi. Znaczną część substancji istniejących w naturze potrafiono już utworzyć sztucznie tym sposobem, i rezultata te są nader zajmujące, rzucają bowiem światło na wstrząśnienia naszej ziemi i różne stany przez które przechodziła. (Do najbieglejszych naśladowców

natury, w tym rodzaju należy Henryk Saint-Claire-Deville). Ztąd wypadałoby, że nie łatwiejszego, jak utworzyć djament, ale niestety! wielu uczonych napróżno nad tem pracowało. Te usiłowania nie mają nic wspólnego z dawnem kuszeniem się alchemików otrzymania złota z pospolitych kruszców, uczony bowiem chcąc zrobić djament, usiłuje tylko jedno i toż samo ciało przenieść ze stanu bezkształtnego w krystaliczny. Nie można tu było wiele się spodziewać od góra, djament bowiem przechodzi w węgiel przy ogrzaniu. Ponieważ jednak ciepło przemienia swą własną robotę wtedy, kiedy jego siła się zwiększa, chemik Despretz próbował działania stosu o 600 elementach na węgiel. Żeby się ten nie zapalił, coby się pewnie stało przy zetknięciu z powietrzem, robił doświadczenia w wielkiem, pozbawionem powietrza naczyniu, które się nazywa *jajem elektrycznym*. Wtedy zdawało się jakoby węgiel zaczynał się topić, ale w żadnym punkcie nie pokazywały się kryształy. — „Za mało ogrzewam” powiedział Despretz i zaczął pożyżać stosów z całego Paryża i nawet miast sąsiednich, urządził tedy baterję z 700 par, (blaszka miedzi i cynku w stosie galwanicznym stanowi parę), wtedy węgiel zajaśniał tak żywym światłem, że olśnił wzrok robiącemu doświadczenie p. Bourbouze i przyprawił go o ciężką chorobę oczu. Nareszcie naczynie napelniło się parą i dymem czarnym, który zaczął osiadać na jego zimnych ścianach w kształcie proszku nieco skryształizowanego, ale te kryształy były czarne niemiałły ani blasku ani twardości djamentu. Był to grafit powalany sadzą. Despretz niezniechęcony sprawdził na sobie to sławne wyrażenie, że geniusz jest niewyczerpaną cierpliwością. Wymyślił mnóstwo przyrządów, które można było widzieć na wszystkich piętrach gmachu Sorbony, a mieszkanie jego było niemi zawalone. Przez całe miesiące przepuszczał prądy przez jajko elektryczne, umieściwszy w wyższym jego końcu węgiel, a w niższym druciki platynowe. Te ostatnie pokryły się sadzami, a pod ich warstwą znalazło się ciało twarde, czarniawe, które szlifowało rubin, tak jak to czynią djamenty. Za pomocą potężnego mikroskopu można w nim było dostrzedz kształty ośmiościanu. Dalej próbował ciągle przez sześć miesięcy działania stosu słabszego, na chlorek węgla; dwa ciała składające go rozdzieliły się i biegun ujemny pokrył się czemcis czarnem, co także szlifowało rubin. Zdaje się, że to były jakby zaczątki djamentu i coś takiego znajdowano już w minach Brazylii, w Bahja. Despretz zrobił więc krok do tworzenia djamentu.

Saint-Claire-Deville robił także niektóre dociekania na téj drodze, wszakże dotąd na-

tura zachowała swoją tajemnicę; węgiel stale się opiera wszelkim usiłowaniom przemienienia go na djament, po który trzeba zawsze zapuszczać się w głębie ziemi. Ale co jest dziwnego, że z dawna znane są pokłady ziemi, w których się zawiera węgiel i wszystkie metale, a dotychczas nie wiedzą w jakich właściwie pokładach utworzył się djament. Do nas przybył najpierwszy raz z Indji; królestwa Golgondy i Vizapuru dostarczały go wyłącznie aż do początku XVIII wieku, w którym to czasie odkrytominy Brazyliji.

Dziś prawie wszystek ztamtąd przychodzi. Przywożą go do Europy w ciągu roku około 180 tysięcy karatów czyli 36 kilogramów (około 72 funtów). Co najmniej połowa tych kamieni, przychodzi za pośrednictwem domu handlowego Coster, który ma swoją szlifiarnię w Amsterdamie. Na 100 sztuk zwykle 2 są niezdatne i te sprzedają po 20 fr. karat, na sproszkowanie i użycie do szlifowania innych. Djament surowy płaci się mniej więcej po 100 fr. karat.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OWIE POTRZE

Opowiadanie przez Ludwikę Mühlach.—Przekład z niemieckiego przez K. R...

(Dalszy ciąg).

— I owszem, bądź naszym przewodnikiem, odpowiedział baron von Emptich, biorąc małego księcia za rękę i zabierając się iść za chłopcem, którego przybrałszy patetyczną minę, postępował przed niemi z powagą przyjącego na siebie obowiązku.

Oprawdzał ich po wązkich i ciemnych ulicach rodzinnego miasta—pokazywał im ciasne zakątki, do których nigdy słońce nie zaszło. Nie raz zatrzymał się przed jakim znajomym sobie domem, opowiadając cierpkim głosem, ile to rodzin mieści się w tej jamie, ścieszonych jak śledzi w beczce; ile biedy i nędzy mieszka w takim domu, nie oglądając nigdy prawie słońca ani światła dziennego, gdyż malutkie i w ziemię zapadłe okienka, zaklejone były brudnym papierem; ztąd z wiecznie rozwartych sieni, kłęby smrodliwych wyziewów i czadu, dostawały się aż na ulicę, zatruwając bardziej jeszcze i tak już nieczyste powietrze.

Daléj opowiadał on jakie to ogromne podatki muszą opłacać żydzi miastu Frankfurt, mimo całej swéj biedy i poniżenia, jak każdy ojciec, życie nowonarodzonego dziecka swego, musi niejako okupić, płacąc podatek od każdej głowy swojej rodziny.

Lecz gdy doszli do staréj bóznicy, którój ściany wyglądały tak szaro, ponuro, i smutno jak wszystko co ją otaczało, rozjaśniły się oczy żydowskiego dziecka i wyraz pobożnego natchnienia opromienił rozumne jego rysy. Ukłękł na progu staréj zapadléj budowy, szepcząc gorącą modlitwę; poczem prędko się podniósł i zaczął głośno i wesoło opowiadać o przepychu i bogactwach kryjących się po za temi murami, o ciężkich szczerol złotych lichtarzach ustawionych w oltarzu, o szczerol złotych podwojach u wejścia do Sanctisimum, o różnych relikwjach wyniesionych z prawdziwego kościoła Salomo-

na z Jeruzalem; tego kościoła, którego był wspanialszym i okazalszym od wszystkich pałaców; o narodzie żydowskim, którego niedługo był najpotężniejszym i najbogatszym od wszystkich innych narodów na ziemi, o tym narodzie, którego Bóg przed innemi umiłował.

Później, skarżąc się i płacząc, jakby chcąc wypiewać swoją boleść, skreślił im stan i poniżenie w jakim ten lud wybrany obecnie się znajdował, rozproszony, błaka się po całym świecie, a wszędzie pogardzony.

Rumienił się mały książę, gdy tak się skarżąc, rzucił na niego Mayer Anzelm swój wzrok wyrazisty, baron tymczasem spoglądał zdziwiony i coraz bardziej rozczulony na tak niepospolite dziecko.

— Doprawdy, jesteś wielce uczonym mój mały przyjacielu!—rzekł.—Któż cię tego wszystkiego nauczył?

— Mój ojciec mnie tego nauczył—odpowiedział chłopiec.—O! mój ojciec był bardzo uczonym, jakkolwiek był to sobie tylko prosty żyd *szachraj*.—Znał on Talmud i księgi Zakonu na pamięć, a podczas długich zimowych wieczorów, gdyśmy siedzieli pociemku i o głodzie, tyle ślicznych rzeczy nam opowiadał, że mi się rozjaśniło w głowie jakby kto światła pozapałał, wtedy zapomniałem że byłem głodnym.

— Mówisz o twóim ojcu, jakby już nie był z tobą,—czy umarł?

— Tak jest panie baronie, umarł?—rzekł chłopiec ze łzami w oczach.—Umarł, a moja matka też wkrótce pójdzie za nim, bo jest bardzo chorą i biedną. Doktor powiada, że mogłaby jeszcze żyć, gdyby mogła zamieszkać w innych okolicach i oddychać świeższym powietrzem, na przykład we Włoszech, nad morzem. Ale gdzież to nam biednym!... dla nas nie pozostaje, jak umrzeć w nędzy! Choćbyśmy i byli tak bogaci, to moja matka, czu-

jąc zbliżającą się śmierć, za nicby nie porzuciła naszej ciemnej ulicy i naszego zapadłego domku. Chce ona umrzeć tam gdzie i ojciec nasz umarł!

— Cóż ty z sobą poczniesz, jak twoja matka umrze? zapytał baron ze współczuciem.—Co z tobą będzie, biedny chłopcze?

— Ze mną co będzie!? zapytał spokojnie chłopiec—ja powiem panu, co ze mną będzie: wy kieruję się na bogatego kupca!

— Ty będziesz bogatym kupcem!?—Zkądże wezmiesz te bogactwa?—Gdzie są twoje skarby?

— Są one tu—panie baronie! zawołało dziecko—Tu w mojej głowie i w moich dziecięciu palcach, alboż to nie wiecie że żyd posiada w swych palcach pewien talizman, że skoro tylko z mocnym postanowieniem wyciągnie rękę—zaraz wszystkie dukaty i złotych zamknięte w skrzyniach bogaczy zaczynają się poruszać i mimowoli czepiają się jego ręki.

— Dziwnym jesteś zaprawdę, mój mały—rzekł baron—ileż ty sobie lat liczysz?

— Równo dziesięć, panie baronie, gdyż urodziłem się w 1743 roku.

— A to właśnie jest rok, w którym i ja się urodziłem!—zawołał młody książę.

Otoż znowu jesteśmy u spiżowych wrót,—panowie, widzieliście wszystko co tylko było do widzenia, teraz zapewne pośpieszycie opuścić to brudne miasto żydowskie. Właśnie bije szósta godzina.... Jest to pora, o której zwykle zamykają wrota od miasta żydowskiego, zatem spieszcie się moi panowie!

— Dobrze, dobrze mój mały Mayer Anzelm—rzekł baron pogadawszy na uboczu z młodym księciem.

Zaważ co ci powiem w imieniu Jego Ks. Wysokości. Jesteś roztroptym i sprytnym chłopcem, podobałeś się młodemu księciu; on by ci chciał wyświadczyć jaką łaskę.

— Tak jest, chciałbym ci jaką łaskę okazać—powtórzył poważnie młody książę.—Gdybyś chciał porzucić tę obrzydliwą ulicę żydowską i zostać porządnym człowiekiem, a do tego pozwolił się ohrzezić, tobym wyprosił u mego ojca Kurfirsta von Hessen, żeby się tobą zajął i kazalby cię nauczyć jakiego rzemiosła, ażebyś jako szewc lub piekarz mógł ucziwie zarabiać na swoje utrzymanie.

— Ślicznie dziękuję waszej Wysokości,—zanadto jestem przywiązany do mojej starej i brudnej ulicy żydowskiej, ażebym ją miał porzucić. Tutaj w tem mieście żydowskim, chcę żyć i umrzeć; tutaj zostanę bogatym i będę milionerem!

— Ty masz być bogatym?.... Ty milionerem!?—zaśmiał się młody książę.—Moja pani matka mówiła mi, że milion to bardzo

dużo pieniędzy, jakżeż ty dojdiesz do tego smarkaczu, żeby mieć milion?

— Jak ja do tego dojdę?—zapytał Mayer Anzelm, handlem zarobię go sobie.

— W jaki sposób?

— Handlem mój księciu. Dziś handluję szpilkami i nitkami;—szpilki zbieram na ulicy gdzie je wielkie wystrójone damy gubią—nitki, po magazynach bogatych kupców, którzy przy rozpakowywaniu towarów odrzucają je bez uwagi.—Tak, tak, dziś prowadzę handel tylko szpilkami i nitkami, ale przyjdzie czas kiedy będę handlował złotem i srebrem. Gdybyś wtedy Mości książę życzył sobie mej usługi, postaram się być na wasze rozkazy. A teraz proszę was moi panowie o zapłatę, wprowadzałem was więcej godziny.

— Na, masz tutaj półtalara—rzekł baron rzucając pieniądz w wyciągniętą rękę chłopca.

— Trzy złote, rzekł chłopiec uśmiechając się. Dziękuję panom.

— Już więc ciebie nie krzywdzi brać od nas darowiznę?—zapytał dumnie młody książę.

— Nieprzyjąłem żadnej darowizny—odpowiedział chłopiec—zarobiłem sobie te pieniądze najsumienniej.

Otoż nadchodzi i pan burmistrz zamykać wrota; idcież już moi panowie—a gdy was znowu kiedy chętką weźmie zwiedzić żydowską ulicę, proszę się do mnie zgłosić, z przyjemnością będę panom służył.

— A ty, gdybyś kiedy był w wielkiej biedzie i potrzebował pomocy, to przychodź do zamku w Hanau—rzekł młody książę,—zamelduj się i proś u mnie o posłuchanie. Jestem książę Wilhelm von Hessen i mieszkać z moją matką w naszej rezydencji na zamku w Hanau.

— A ja jestem Mayer Anzelm Rothszyld i mieszkam z moją matką na żydowskiej ulicy—Ghetto—w wolnem mieście Frankfurcie—rzekł przyszyły bankier.

Popatrzał jeszcze jakiś czas za odchodzącym książęciem, który postępując powoli, z podniesioną głową, obok swego ochmistrza, zdążył do oczekującego na nich, na rogu ulicy powozu. Kiedy mu już panowie znikli z oczu, zakręcił się w miejscu na pięcie, dając pstryczka palcami i rzekł.—A teraz dalej dalej w drogę!.... Toż to się mama ucieszy gdy jej pokażę te pieniądze!....

I lekko, jakby mu kto skrzydła przyprawił, pobiegł Mayer Anzelm, nie odpowiadając nawet na powitania przechodniów—wzdłuż żydowskiej ulicy, do małego, w ziemię zapadłego domku, w którym mieszkała jego matka.

— Mamo!—droga mamo!—zawołał popchnawszy drzwi przed sobą i wchodząc do ciemnej izby.—Mamo przynoszę ci.... lecz słowa zamarły mu na ustach, i z głośnym krzykiem boleści rzucił się na nędzne łożo,

na którym leżała jego matka. Ona miała oczy zamknięte, i widzieć nie mogła.—Głęboki, straszny jęk wydobywał się z jej piersi;—jej żółtkłe, lodowate czoło pokryte było wielkimi kroplami potu; blade wychudłe ręce, spoczywały bezwładnie na ciemnej koldrze. Przy niej siedziała na niskim, z trzciny plecionem krzeselku, dziewczynka lat sześciu, z tym, pełnym powagi i rozumu wyrazem twarzy, jaki nadaje dzieciom bieda i konieczność radzenia sobie.—Ona też miała rączki złożone, a jej duże, czarne oczy zwrócone do nieba, łzy spadające powoli wzdłuż policzków, świadczyły że się gorąco modliła.

— Co to jest z mamą?—wołał chłopiec rzucając się na łóżko.—Matko!—czemuż mi nie odpowiadasz!?... Czemuż nie spojrzysz na mnie i nie ucieszysz się żem już powróci!

Lecz chora zdawała się niesłyszeć jego wołania, nieprzestawała jęczeć i stękać nie otwierając oczu.

Zwrócił się Mayer Anzelm do siedzącego dziewczęcia; położył drżącą rękę na jej ramieniu i pytał:

— Gudulo!—czemu ona mnie nie odpowiada?—Gudulo, co to się stało mamie?

— Ona chora, bardzo chora!—odezwała się dziewczynka.—Powiedziałeś mi dziś rano wychodząc na handel, żebym przyszła pilnować twojej matki póki nie wrócisz. Gdy weszłam do izby, leżała wyciągnięta na podłodze nie niesłyszając, chociażem prosiła się żeby mi co odpowiedziała;—cóż było robić? pobiegłam zwołać sąsiadki, i one położyły twoją matkę na łóżko; przyszedł później i mój ojciec, powiedział że z niej nie będzie, kazał mi żebym pozostała i modliła się tak długo przy niej, aż póki ona nie zamleje na zawsze.

— Ale to być nie może żeby ona zamilkła na zawsze!—wołał w rozpaczy chłopiec. Ona jeszcze przemówi, otworzy oczy i spojrzy na mnie!—Matko, matko! słuchaj mnie, twój Mayer Anzelm powrócił, przyniósł ci pieniędzy, dużo pieniędzy! mogę ci kupić cobyś tylko zażądała.—Ach! spojrzysz na mnie, moja droga matko, nie leż tak z zamkniętymi oczyma, miej litość nademną:—Serce mi pęknie z boleści jeżeli tak długo jeszcze leżeć będziesz. Matko! matko!—otwórz oczy, zagadaj do mnie!

I to rozdzierające wołanie dziecka zdołało uciekający już duch, raz jeszcze do ciała zwrócić; pasujące się już ze śmiercią matczyne serce, na głos wołającego dziecka, uderzyło znowu. Chora podniosła powoli ociężałe powieki, spojrziała wzrokiem pełnym miłości w drgające z boleści oblicze swego syna, którego gorące łzy spadały, kropla po kropli na jej lodowate czoło, jakby chciały żarem swoim znowu ją do życia przywołać.

Usta jej, ściśnięte w kureczach śmiertelnych powoli się otwarły, szepejąc niezrozumiałe wyrazy.

Dziecko stłumiło w sobie płacz i łkanie, siłą woli wstrzymało cisnące się do oczu łzy, zatrzymało w sobie oddech i z sercem bijącym przysłuchiwało się jej słowom, które cichym szeptem z jej warg wypływały.—Podniosła się, szeroko otworzyła oczy i wpatrywała się z wyrazem nieopisanéj miłości w oblicze syna.

— Matko, droga matko! jeżeli mnie choć troszeczkę kochasz, nie odchodź odemnie; ach! zostań, nieporzucaj mnie tak samego na świecie.

Miłość — ta nieograniczona miłość macierzyńska dodała jej sił.—Wzniosła ręce do góry, objęła swoje dziecko mocno za szyję, przycisnęła go tak silnie do swego łona, jakby już nigdy z nim się rozstać nie chciała.—Bywaj zdrów! — zawołała głośno. — Żegnam cię mój synu!... Pozostań wiernym Bogu twych ojców, wiernym sobie samemu...i.....

Nie więcej nie powiedziała, ręce jej opadły, głowa w tył się pochyliła, poczem lekko westchnęła.... poraz ostatni. — Wszystko uciuchło!

— Nie żyje! umarła!—wołał chłopczyna.—Rzucił się przed nią na kolana i całował i ścisnął jej ręce, — i wpatrywał się w jej martwe rysy z wyrazem nieopisanéj boleści — lecz razem i jakiegoś religijnego uszanowania:—nie śmiał ani płakać, ani narzekać,—zdawało mu się, że widzi niby promień światła otaczający głowę zmarłej;—że w jego oczach odbywa się wielka tajemnica przejścia z łona śmierci do wiecznego żywota, w tych najprzód zmienionych, a potem coraz bardziej stycznych rysach.

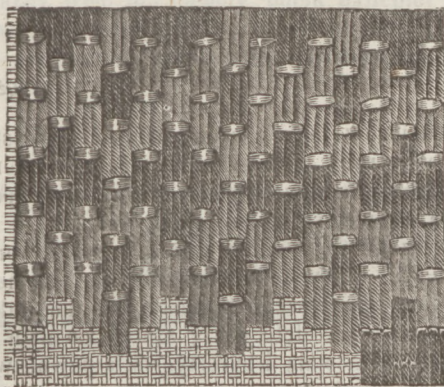
Lecz gdy już ostatni mięsień zastygł, ostatni płomyk nękającego życia zagasł;—wtedy chłopiec oprzytomniał i poznał całą okropność swego położenia i wszystko co w tej chwili utracił; wtedy boleść jego objawiła się w głośnym płaczu.

— Jestem sierota — zupełny sierota! Nie mam nikogo kto by mnie kochał, nikogo na tym szerokim świecie!

— Mayer Anzelm, ja ciebie kocham!—odezwał się tuż obok niego dzwięczny głosik, i dwoje delikatnych rączek objęło go za szyję, a różowe usteczka wycisnęły na jego policzkach gorący pocałunek.—Nie mów że jesteś sam Mayer Anzelm, Gudula nie opuści ciebie, ona wiecznie przy tobie zostanie i wiecznie cię kochać będzie.

Mayer Anzelm objął ją za szyję i długo wpatrywał się w jej twarzyczkę, uśmiechając się do niej przez łzy: poczem położył głowę na jej ramieniu i gorzko zapłakał.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Ścieg na kanwę, do użycia na pantofle, worki podróżne i t. p.

Deseń ten można uczynić bardzo gustownym dobierając umiejętnie kolory. Wziąć np: włóczkę czarną, i trzy cienie zielonej, robić ścieg długi na 6 nitkach kanwowych, kładąc trzy rzędy włóczki obok siebie. Nasz deseń wskazuje jak kolory układać się powinny. Szpary między ściegami przykrywają się poprzecznie białą filozellą.

Opis ryciny mód.

Fig. 1. Suknia niebieska o dwóch spódnicach, z których dolna obszyta falbaną fałdowaną na jedną stronę,—górna spięta na guziki z przodu, a w czterech punktach niedoszyta w brytach o jedną trzecią długości. W tych punktach bryty wywinięte na dwie strony, tworzą wyłogi przytwierdzone guzikami i czarno podszyte. Brzegi obszyte czarną aksamitką z białymi brzeżkami, jak również paletocik i rękawy. Kapelusik, jeden z najmodniejszych dzisiaj, zwany toczkiem, z ryżowej słomki, otoczony niebieską aksamitną wyłogą i białym piórkiem.

Fig. 2. Suknia czarna powłóczysta, wystrojona warkoczami z atłasu tegoż koloru, gorsecik podobnie ogarniowany, bluzka biała pod szyję.

Fig. 3. Sukuia wizytowa z pekinu lila w czarne pasy z gładkim stanikiem pod szyję, spiętym na guziki i wązkiemi rękawami. Paletot z ciężkiej jedwabnej materji naszyty taśmą, bogato dżetem haftowaną i spięty na ozdobne guziki sznurami. Kapelus z lila krepki ozdobiony rzędem czarnych grelotek, spięty na wstążki lila i koronkowe czarne barby.

Fig. 4. Suknia jasno zielona z białą tuniką z prążkowanego fularu, w zęby objęte zieloną materją. Tak samo ząbkowany i obsyty paletocik zaokrąglony z przodu. Epolety i wyłogi wąskich rękawów również zielone. Kapelusz słomkowy spięty tiulowemi szarfami, obsyty z frontu girlandą białych stokroci, w samym środku najgrubszą, z tyłu zaś kryształowemi grelotkami, które na włosy spadają.

Fig. 5. Suknia atłasowa jasno żółta, bez żadnych fałdów, ubrana koronką i frendzlą z kryształowych pereł, która także tworzy pasek ozdobny. Na głowie pąsowa aksamitka wiąże się z tyłu i puszcza w dwa długie końce. Na szyi czarna aksamitka z medalionem.

Fig. 6. Dziewczynka od 4 do 6 lat. Suknia z gorsecikiem różowa wycięta w okrągłe łuki, objęte czarną aksamitką i wygarniowane guziczkami. Duże podobne szarfy zwieszają się z przodu. Pasek także wystrojony guziczkami i aksamitką. Spódniczka dolna obszyta płaską falbanką. Bluzka biała, różowa wstążka w warkoczyczkach, różowe buciki.

O UBIORACH.

Paryż 16 Maja.

I pod rubryką ubiorów jest o czem napisać z Wystawy. W oddziale 35 ukazują się cudne wyroby z jedwabiu i dzetu, misterne rysunki wieżyczek, arabesków, kółek, kantów, kropek, które zwą pasmanterjami. Nad nimi wstążki górują barwą; są to przedmioty sztuki te kwiaty, kłosa, wyrabiane na rogach, szczególnież wiele wstążek przygotowanych na szarfy. Są na wystawie szarfy białe, których końce ozdobione są herbami cesarzowej, najdokładniejszego i najpiękniejszego rysunku; są tam także ozdoby do sukien ze stali i bursztynu, duże duże perły złote, co nam obiecuje, że każą nam nosić suknie obszywane stalą i bursztynem, a pewno wtedy obszycie dwa razy tyle niż materiał na suknię wynosić będzie. W Paryżu noszą tak małe kapelusze, że nawet zaniedbują dawać im nazwy kapelusza i sprawiedliwie określają wyrazem *coiffure*, ubranie na głowę. Np. gałązka aksamitnego bluszczu nad czołem, a druga na warkoczu nader podniesionym w górę, od której duża mantyla z tiulu kropkowanego spada na ramiona i zwiężona krzyżuje się pod brodą, gdzie przepina się różą—oto ma być kapelusz. Drugi tego rodzaju składa się z małego kwadraciku słonkowego przytwierdzonego wstążkami idącymi do tyłu a pod brodą szarfami z jedwabnego tiulu. Trzeci był już tylko prawie woalem przytwierdzonym jednym kwiatem na głowie, woal ten przyklejony do twarzy jak dawny zwany *loup*, tylko krótszy, dochodzący zaledwie do nosa, pokrywa pół ucha i wiąże się z tyłu szerokimi szarfami.

Noszą dużo materji, w których mieszany jest jedwab z wełną a prawie wszystkie są z dwóch kolorów złożone, pstre (chiné) t.j. w kamyczki, w kropeczki, lila na białem, lila na szarém, czarne na popielatem lub na białem. Staniki z przodu wycięte, w kwadrat, krojem zwanym *à la Rafael* bardzo używane, szczególnież dla młodych osób. Cóż ładniejszego np. jak suknia błękitna gładka ze spódnicą z tyłu marszczoną, powłóczystą, której brzeg za jedyną ozdobę obszty rulonem atłasu tegoż koloru, ze stanikiem pokrywającym ramiona aż do karku, ale z przodu mocno wyciętym w kanty, wykrój zaś jego dopełniony na dwa palce szerokości tiulową marszczoną szmizetką, daje widzieć część piersi i szyję.

Opaski wielką grają rolę w dzisiejszem ubraniu; są często przedłużone w szarfy spiczaste, zakończone kutasami, kokarda miewa po trzy pukielki płaskie z każdej strony. Widzieliśmy pasek mający oprócz szarfy z tyłu, w około baskinę mającą pół łokcia długości i wyciętą w kwadratowe zęby (*en créneaux*) jak ząbkowane mury baszt starych. Tak baskina jak szarfa zakończona dwoma także kanciastymi zębami, były z materiału sukni, objęte nieco jaśniejszym atłasowym rulonem.

Zapewne w lecie będą więcej białych pończoch nosić, gdyż dotąd w Paryżu nie widziano ich prawie na ulicy, szczególnież też przy kozłowych bucikach. Kładą najczęściej pończochy w podłużne pasy kolorowe. Dla dzieci robią wiele pończoch w krateczkę, w kwadraciki czerwone i białe, lub pstre, szkockie, a nareszcie całe czerwone.

Obuwie przy sukniach krótkich większej ulega kontroli a więc i bardzo staranne być winno. Stosowanie go do koloru sukni jest zbyt kosztownym wykwintem, czarny więc lub ciemny bucik najlepiej do każdej przystoi. Bucików tak zwanych węgierskich z kutasami i naszywaniem różnemi, kobietom nie chcącym zwracać na siebie oczu nie radzimy.

Objaśnienie tablicy rysunków dodanej do poprzedzającego poszytu.

(Dokończenie).

Nr. 19 i 20. Krajanie staników podług miary. Środki do téj nader pożytecznej umiejętności będziemy się starali podać jak najdokładniej, tłumacząc starannie rycinę tu się znajdującą. Paskiem skórzanym podzielonym na centymetry którego dostać można w galanteryjnych sklepach, bierze się najpierw miara oznaczona na rycinach *Ner. 1.* przez plecy przeprowadza się ją pod pachami, i łączy luźno na piersiach; potem przedzielić ją trzeba na połowę i zapisać ilość centymetrów znajdujących się na téj połowie. Dalej wziąć miarę w pasie, jak *Ner. 2.* na rycinie wskazuje, lecz ścisnawszy nieco; oprócz tego, po złożeniu miary na połowę, zapisać jeden lub dwa centymetry mniej, według tego jak ma być ciasna suknia. Następnie mierzy się figura w połowie piersi (*Ner. 3.* na rycinie) prowadząc pasek od ramienia do ramienia. Środek pleców od ramienia do ramienia, (*Ner. 4.* na rycinie), Długość stanu, zaczynając pod pachą a kończąc u paska, (*Ner. 5.* na rycinie). Długość pleców, (*Ner. 6.* na rycinie). Po siódme, długość stanika z przodu od szyi do paska. Długość rękawa, zaczynając mierzyć w miejscu gdzie miara szerokości pleców, prowadząc po przygiętej ręce, przez łokieć aż do pięści.

Gdy się tak miarę wzięto na osobie, trzeba wyciąć jedną z trzech form, które się znajdują na tablicy kroju pod *Ner. 5.* stosując ją do otyłości osoby dla której ma być suknia i na téj formie, położonej na materiale, przykładając miarę tą samą kolejną, i na tych samych miejscach jak się brało na figurę, przypuszczając w krajanu lub ujmując, podług liczby centymetrów zapisanych. Nie trzeba zapomnieć że się dodaje na szwy.

Wspomniemy tu jeszcze że miara na spódnicę bierze się z przodu i do zwyczajnej długości dodaje się z tyłu 10 centymetrów; jeżeli zaś ma być z ogonem, to długość takowego od upodobania zależy.

Ner. 21. Litery wiązane S. L. atłaskiem.

Ner. 22. Szlaczek w guście wschodnim dający się użyć do sukni pod *Ner. 31.* lub też do obszywania beduin, kaftanów, ubrań dzieciennych i t. p. Bierze się repsu koloru skóry, to jest jasno orzechowego na tło, wstążeczki dwubarwnéj, to jest z każdej strony innego koloru, albo wstążeczki białej i czarnej, jednakowej szerokości i długości; te starannie złożyć z sobą i zszyć brzeżkiem, niewidzialnie; następnie, na pasku repsowym, układa się tę zjednoczoną wstążeczkę, w ten sposób jak rycina wskazuje i przyhaftowywa ścięciem rzadko dzierganym, używając do czarnej wstążeczki jedwabiu jasno żółtego, a do białej, wiśniowego. Punkta znajdujące się na białej stronie są koloru pasowego robione atłaskiem, gwiazdeczki jedwabiem czarnym; punkta większe znajdujące się na tle, pomiędzy zębami, mogą być szafirowe a paciorki do koła stalowe; gwiazdki czteropunktowe są także ze stалеk.

Nr. 23. Odmiana ścięgu tunizeńskiego. Ścieg ten rozciągnięty, wygląda jak się widzieć daje na rycinie, a skulony, równie ładne robi wrażenie, i przytem pożytecznie użytym być może, bo na przedmioty ciepło dające, jako: kaftany zimowe męzkie, kaftaniki dziecięce, kołderki i t. p. Na zwyczajnym łańcuszku początkowym, robi się oczko jak w ścięgu tunizeńskim i podobnie jak w tymże ścięgu, gubi się wracając; w drugim rzędzie nie nabiera się pętelek podłużnych ale się wkłada szydełko do zrobienia oczka, w otwory znajdujące się pomiędzy niższemi oczkami. Tak robić aż do końca druta, a powracając spuszczać zwyczajnym tunizeńskim sposobem. Następne rzędy podług tego ostatniego, tak nabieranie jak gubienie. Jest to ściąg ławy i prędko się robiący.

Nr. 24. Drugi szlaczek w guście wschodnim. Na répsie koloru szafirowego lub dzikiego, nafastrygować paski z sukna białego w kierunku jak rysunek wskazuje, i przyhaftować jedwabiem czarnym, ścięciem długim ukośnym. Kółka na paskach są robione pasowym jedwabiem, gwiazdki czarnym a wąż którego przeplata paski, haftuje się ścięciem długim, jedwabiem żółtym w dwóch cieniach; paciorki złote.

Ner. 25. Litory wiązane H. R. i korona atłaskiem, sznureczkiem, i punktami.

Ner. 26. Litory wiązane M. R. atłaskowym haftem, sznureczkiem, punktami i ścięciem kanonierskim albo atłaskiem skośnym od połowy listków.

Ner. 27. Kołnierzyk z łańcuchem którego kółka haftować trzeba atłaskiem a ogniwka spajające je, ścięciem kanonierskim; połowa każdego promienia gwiazdki, także atłaskiem a druga połowa atłaskiem kanonierskim.

Ner. 28. Mankiet do kołnierzyka Nru 27go.

Ner. 29. Suknia balowa złożona z czterech spódnic tiulowych i tuniki jedwabnej. Najniższa spódnica gładka, trzy wyższe wycinane w duże okrągłe zęby, które się obszywają materją koloru wierzchniej tuniki. Tunika bez łańd. Z boku bukiet z kamelji przewiązany szeroką wstążką, której końce spadają poniżej pierwszej tiulowej spódniczki. Ta suknia jest jednym z pierwszych modeli sukien bez trenów na bal.

Ner. 30. Naszyjnik (collier). Bierze się aksamitka czarna szerokości 1½ centi: a długości 50 do 55 centim: co zależy od grubości szyi, tę aksamitkę naszywa się paciorkami, lecz kosztowniejszy naszyjnik może mieć prawdziwe perełki, desen do upodobania. To się podszywa sztywnym muślinem i wstążeczką jedwabną. Na końcach przyszyć można obciągnięty aksamitem guziczek, na który przyszywa się perełkę, lub wyszywa gwiazdkę z peretek; na drugim końcu pętelkę jeżeli zaś jest odpowiednia spinka, to nierównie piękniejsze robi wrażenie. Krzyżyk, główna ozdoba tego naszyjnika, robi się z kawałka klejanki czyli płótna w kleju maczanego, do którego przyszyć trzeba łusbanki płasko szkłem zeszlifowane i to pokryć aksamitką już perełkami naszytą na wierzchniej stronie.

Ner. 31. Suknia ta jest koloru białego, ozdoby składają się ze szlaczków w guście tureckim które można kupić, lub je wyhaftować podług deseni pod Ner. 22 jedwabiami. Do ubrania głowy używa się takich samych pasków jakimi suknia jest przyozdobioną. Końce tych pasków przy sukni zakończają gałeczki jedwabne w kolorach stosownych.

Ner. 32. Szlaczek na kolorowe wyszycia ścięciem długim i ościowym.

Ner. 33. Rusza listkowa. Ten ozdobny rodzaj garniowania używa się do mantyl, kaftanów, naszyjka brytów w sukni w kliny i t. p. Do zrobienia bierze się materją lekka, szerokości dowolnej. Np: pasek ma pięć centim: szeroki, którego zszywa się, założywszy jeden brzeg na drugi; potem złożyć trzeba tak, aby szew był w środku paska po lewej stronie; po prawej zaś naszywa się środkiem wzdłuż trzy ścięgi jak rysunek wskazuje, te ścięgi się mocno i zamocowują, a w miejscach oznaczonych numerami zszywa się dwa brzegi z sobą i zów trzy ścięgi i dalej jak poprzednio. N. B. można, stosując się do dzisiejszej mody, w punktach gdzie zmarszczono, dać paciorki.

Strona form.

- Fig. 1. Nru 1go. Przód od kamizelki damskiej.
- Fig. 2. Nru 1go. Kłapka od kamizelki.
- Fig. 3. Nru 1go. Plecy kamizelki.
- Fig. 4. Nru 1go. Przód kaftanika.
- Fig. 5. Nru 1go. Połowa pleców.
- Fig. 6. Nru 1go. Rękaw, część zwierzchnia i spodnia.
- Fig. 7. Nru 1go. Połowa kołnierza.

Fig. 1. Nru 2go. Połowa przodu lub tyłu umuślinowego stanika.

- Fig. 1. Nru 3go. Przód kaftanika.
- Fig. 2. Nru 3go. Boczek przedni.
- Fig. 3. Nru 3go. Boczek od tyłu.
- Fig. 4. Nru 3go. Połowa pleców.
- Fig. 5. Nru 3go. Epolet.

- Fig. 1. Nru 6go. Formy na przód stanika dla trzech osób różnej ctyłości.
- Fig. 2. Nru 6go. Formy na plecy staników trojkiej wielkości.



KÓŁKO DOMOWE

Czerwiec 1867. r.

II.

